tygodnik społeczno-kulturalny
Łódź
odgłosy
NR 13 (1216) ROK XXIV 29 MARCA 1981 R. CENA 3 ZŁ

Tomasz Söldenhoff

GDAŃSK, STOCZNIA – pół roku później

Za historyczną bramą numer dwa — wzdłuż stoczniowego płotu — rozciąga się piętrowy budynek, którego okna wychodzą na plac i pomnik. „Solidarność" zajmuje w nim trzy pokoiki. Na razie trzy — na 15 tysięcy członków.

Ślady gwoździ, których nie zasłoniły przykuse plakietki, mówią, że do niedawna za tymi drzwiami było coś innego. Nie ma jeszcze nazw komisji ani wizytówek działaczy. Kartkę z odręcznie wypisanym słowem „Sekretariat" przykleił ktoś gdy pokój i korytarz zapełnią się interesantami.

Ale w wystroju niewiele już się chyba zmieni. Duży obraz Matki Boskiej przysłonięty tkaniną czeka na odkrycie. Na ścianach krzyże, związkowe pamiątki, plakaty.

Przyjechałem do Stoczni im. Lenina 5 marca, w cztery dni po wyborach do „Solidarności". *„Załoga Stoczni Gdańskiej, która jako pierwsza na Wybrzeżu wystąpiła z robotniczym protestem w pamiętnym Sierpniu 1980, przeżyła ponownie swój wielki dzień"* — relacjonował tygodnik przemysłu okrętowego *„Głos Stoczniowca"* dwudniową (27—28 lutego) Zakładową Konferencję Wyborczą NSZZ „Solidarność".

Dalszy ciąg na str. 4—5

Konrad Frejdlich

gorycz nadziei

Burzliwe „Forum" Stowarzyszenia Filmowców Polskich na ubiegłorocznym Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku sygnalizowało narastający konflikt pomiędzy środowiskiem realizatorów a władzami kinematografii. Wprawdzie resortowy wiceminister **Antoni Juniewicz**, którego zapamiętałem na sali kinowej stojącego obok **Lecha Wałęsy**, podczas projekcji materiałów filmu „Robotnicy 80" obiecywał radykalną poprawę sytuacji polskiego kina, ale prawda była inna. Nawet nie dlatego, że w Naczelnym Zarządzie Kinematografii leżały przez miesiące a nawet lata filmy, które nie mogły się przebić do widza ze względów cenzuralnych. Restrykcje te jednoczyły bowiem środowisko realizatorów i stanowiły zachętę do oporu, a nieliczni odszczepieńcy, którzy usiłowali wykorzystać koniunkturę polityczną do swych osobistych celów, spotkali się ze zdecydowanym potępieniem moralnym przygniatającej większości artystów polskiej sztuki filmowej. **Film polski był zagrożony przez dyletanctwo administracji która mogła zapisać na swoim koncie samę tylko pasywa. W zatrważającym tempie zaczęła zmniejszać się w naszym kraju liczba kin. Nie nastąpiła też żad poprawa warunków produkcyjnych ze względu na szczupłość bazy, fizyczne zużycie sprzętu i brak taśmy.** Mimo nieustannego wzrostu kosztów produkcyjnych filmów co związane jest z absurdalnymi wskaźnikami, jesienią ubiegłego roku zagrożona była nawet dotychczasowa pula środków pieniężnych na realizację filmów. Innymi słowy: polskiej sztuce filmowej groził zastój, a środowisku filmowemu pogłębiające się bezrobocie. Czy można się dziwić, że w tej sytuacji Stowarzyszenie Filmowców Polskich reprezentujące moralne i materialne interesy realizatorów wyraziło wobec wiceministra **Juniewicza** wotum nieufności?

W październiku 1980 r. odbył się w Warszawie Nadzwyczajny Walny Zjazd Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Termin zwołania tego zjazdu i poprzedzające go nastroje zapowiadały burzę. Tymczasem stało się zupełnie inaczej. Na trybunę wyszedł przywitany burzliwymi oklaskami nowy minister kultury i sztuki **Józef Tejchma**, który zamienił wygodny frak dyplomatyczny na garnitur przedstawiciela rządu nękanego ze wszystkich stron żądaniami społeczeństwa. **Tejchma** przychodził na zjazd filmowców z konkretem: drastyczne cięcia budżetowe, zagrażające egzystencji polskiej sztuki filmowej udało mu się anulować. Posunięcie to nie zapowiadało wprawdzie rozwoju kinematografii w naszym kraju, ale stanowić mogło hamulec spadania po równi pochyłej. Minister Tejchma apelował wówczas o zaufanie i środowisko filmowe dało mu swój kredyt. Już wkrótce okazało się jednak, że nabrzmiała od miesięcy sprawa rozpowszechniania filmu „Robotnicy 80" znalazła tylko połowiczne rozwiązanie.

Po odejściu wiceministra Juniewicza, co nastąpiło wkrótce po październikowych obradach Nadzwyczajnego Zjazdu SFP, **Andrzej Wajda** i

Dalszy ciąg na str. 8

Foto: A. Brustman

„Uciechy staropolskie" w Teatrze Nowym w Łodzi. „Srebrna Łódka" za sezon 1980/81. Opracowanie dramaturgiczne i reżyseria Kazimierz Dejmek.
Od lewej: Anna Grzeszczak, Ludwik Benoit, Łucja Żarnecka (Bida, Nędza i Mizeryja), Ryszard Stogowski, Ryszard Dembiński i Janusz Kubicki (Szlachcice).
O sprawach teatru czytaj str. 6—7.

Wiktor Herer

bez podwyżek nic z tego

W dalszym ciągu cyklu referatów wygłoszonych podczas konferencji naukowej, poświęconej reformie gospodarczej, a zorganizowanej w grudniu ub. roku przez MKZ NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej i organizację „Solidarności" Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego UŁ, publikujemy dziś wypowiedź prof. dr hab. Wiktora Herera. (Uprzednio drukowaliśmy referaty Waldemara Kuczyńskiego (nr 7/81) i Jana Mujżela (nr 8/81).

Publikację przygotowaliśmy do druku w oparciu o zapis magnetofonowy. Tytuł pochodzi od redakcji.

Paradoks obecnej sytuacji polega m.in. na tym, że najostrzej odczuwamy trudności żywnościowe, choć indywidualne rolnictwo dostarczające podstawową masę żywności, na tle obrazu naszkicowanego przez Waldemara Kuczyńskiego (por. „Odgłosy" nr 7/81 — przyp. red.), jest chyba ciągle jeszcze w naszym organizmie gospodarczym najzdrowszym ogniwem, które można stosunkowo szybko reformować i „stawiać na nogi".

Najpierw trochę historii. Rozwój produkcji rolnej ostatniego 20-lecia możemy podzielić na 3 okresy. Pierwszy to lata 1960—1975 charakteryzujące się szybkim wzrostem produkcji rolnej, 2 proc. średnioroczne, jakie osiągano w tym 15-leciu (oczywiście, bardzo rozmaicie, w różnych podokresach), to bardzo dużo. Przyspieszenie było wielkie, zwłaszcza w latach 1971—1973. Później przychodzi okres stagnacji — lata 1976—1979. Wreszcie rok 1980, który jest rokiem katastrofalnego nieurodzaju i w ogóle rokiem szczególnym.

Dalszy ciąg na str. 5

Henryk Nakielski

w intencji obrony praw mego kraju

Równocześnie z walką o uniewinnienie z zarzutu pomówienia o obrazy dr *Petrysa* prowadzoną na forum nauki, doc. *Hankus* wnosi o rewizję drakońskiego wyroku Sądu Powiatowego. Ponieważ sąd oparł swój wyrok, w głównej mierze, na werdykcie Komisji Dyscyplinarnej Politechniki Krakowskiej, oskarżona wnosi teraz o włączenie do akt sprawy dokumentów z postępowania przed Wyższą Komisją Dyscyplinarną, stanowiącą drugą w stosunku do Komisji Dyscyplinarnej PK, instancję w procesie postępowania dyscyplinarnego. Ku niemałemu jej zaskoczeniu Sąd Wojewódzki w Krakowie nie wyraża na to zgody. Sąd włączył już do akt opinię komisji powołanej przez prorektora Politechniki i stwierdza, że liczba dokumentów potrzebnych do rozpoznania sprawy, jest już wystarczająca. Przypadkowo składa się jednak tak, że zarówno werdykt Komisji Dyscyplinarnej PK jak i opinia obciążają doc. *Hankus*, natomiast werdykt Wyższej Komisji Dyscyplinarnej przemawia na jej korzyść. Jeśli więc dokumenty z WKD nie znajdują się w aktach sprawy, *A. Hankus* nie ma co liczyć na pomyślny wynik rewizji.

Dalszy ciąg na str. 11

DOKONANO WYBORÓW nowego przewodniczącego Komisji Oświaty, Wychowania i Kultury Rady Narodowej m. Łodzi. Został nim Igor Slickrycki, znany poeta i tłumacz. Gratulujemy!

22.III. br. w kinie „Włókniarz" odbyło się uroczyste wręczenie nagrody im. Przecława Smolika reżyserom filmu „Robotnicy" Andrzejowi Chodakowskiemu i Andrzejowi Zajączkowskiemu. Wręczenia dokonał prezes Stowarzyszenia Twórców Kultury Konrad Frejdlich podkreślając, że realizacja dobrze posłużyła się sprawie edukacji narodowej w duchu humanizmu socjalistycznego. Z ramienia ZG Stowarzyszenia Filmowców Polskich złożył gratulacje laureatom reżyser Krzysztof Kieślowski, w imieniu robotników łódzkich podobne gratulacje złożyli członkowie prezydium zarządu MKZ NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej dr Jerzy Kropiwnicki oraz Józef Kościelski.

W NIEDZIELĘ 22 BM. przebywała w naszym mieście delegacja pisarzy radzieckich w składzie: przewodniczący moskiewskiego oddziału Związku Pisarzy Radzieckich — **Feliks Kuźniecow**, I sekretarz tamtejszej oddziałowej organizacji KPZR — poeta krytyk **Wiktor Kozetkow**, poetka **Jekaterina Szewielowa** i prozaik **Iwan Stadniuk**. Gościom z Moskwy towarzyszył sekretarz ambasady ZSRR w Warszawie — **Eugeniusz Niewiakin**. Wizytę rozpoczęło spotkanie z przedstawicielami łódzkiego środowiska pisarskiego podczas którego prezes łódzkiego Oddziału ZLP — **Jerzy Wawrzak**, przestawił twórcze związki łódzkiego środowiska pisarskiego ze współczesnym życiem literackim w ZSRR. Następnie goście zwiedzili Centralne Muzeum Włókiennictwa, oraz spotkali się z sekretarzem KŁ PZPR — **Janem Nosko** oraz przedstawicielami Stowarzyszenia Twórców Kultury, a także obejrzeli film „Robotnicy".

24 BM. PO RAZ pierwszy został wręczony medal pamiątkowy: „Nagroda imienia profesora Władysława Raczkowskiego". Medal w uznaniu za wybitne osiągnięcia w Teatrze Wielkim otrzymała wdowa po prof. Raczkowskim — Magdalena Raczkowska oraz, pośmiertnie, Feliks Parnell (w jego imieniu nagrodę odebrała żona artysty — Maria Łapińska-Parnell). Ponadto Nagrodę imienia profesora Raczkowskiego otrzymali: Sabina Nowicka, Mieczysława Drobner, Zygmunt Latoszewski, Stanisław Piotrowski oraz Witold Borkowski.

Medal ufundowany został z inicjatywy działającego przy łódzkim Teatrze Wielkim koła Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu. Celem tej inicjatywy jest uczczenie pamięci prof. Wł. Raczkowskiego — jednego z twórców opery w Łodzi a także złożenie hołdu artystom, którzy szczególnie przyczynili się do rozsławienia na scenach polskich i zagranicznych Teatru Wielkiego.

KRONIKA KULTURALNA

W ODPOWIEDZI na apel wybitnej pisarki Wandy Karczewskiej z inicjatywy Stowarzyszenia Twórców Kultury i Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Sztuki w Łodzi, powstał Komitet Założycielski Budowy Ośrodka Sztuki Nowoczesnej. Ośrodek ten ma powstać w Łodzi. Przewodniczącym Komitetu Założycielskiego jest Kazimierz Dejmek, z-cą przewodniczącego Wanda Karczewska, sekretarzem Ryszard Brudzyński — wicedyrektor Muzeum Sztuki, skarbnikiem dr Janusz Zagrodzki — historyk sztuki.

Komitet Założycielski przekształci się w Społeczny Komitet Budowy Ośrodka Sztuki, opierając się o środowiska artystyczne w kraju i za granicą. Idea komitetu uzyskała poparcie politycznych władz miasta. W jego składzie znaleźli się przedstawiciele wszystkich środowisk twórczych Łodzi. O ukształtowaniu się Społecznego Komitetu Budowy Ośrodka Sztuki w Łodzi i otwarciu konta natychmiast powiadomimy społeczeństwo.

ROZSTRZYGNIĘTY ZOSTAŁ Konkurs Amatorskiej Plastyki Artystycznej „Łódź — moje miasto", na który wpłynęło 100 prac, w większości malarskich.

Jury pod przewodnictwem artysty plastyka, Jacka Bigoszewskiego, zakwalifikowało do udziału w wystawie 77 prac, nagradzając niżej wymienionych autorów: Główną nagrodę za zestaw prac otrzymał Jan FILIPSKI i nagrodę — Tadeusz MATYSIAK (za obraz pt. Ulica Piotrkowska) II — Tadeusz RYNKIEWICZ za zestaw prac, III — Oskar BREANSTETTER za zestaw prac.

Jury przyznało również 45 wyróżnień. Otrzymali je: Tadeusz Bartczak, Jadwiga Kołodziej, Stanisław Staniszewski, Bronisława Walczak i Jadwiga Zatoplańska.

Pokonkursowa wystawa czynna jest w Galerii Domu Technika NOT w Łodzi przy pl. Komuny Paryskiej do 29 marca br.

IV TRIENNALE Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej odbędzie się w salach wystawowych Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi w okresie 20 października —31 grudnia 1981 r. Podobnie jak przy poprzednim Triennale organizatorami oprócz muzeum są Zarząd Okręgu ZPAP i Biuro Wystaw Artystycznych w Łodzi.

Również cel Triennale pozostaje niezmieniony i jest nim stworzenie płaszczyzny do możliwie szerokiej konfrontacji twórczości w dziedzinie tkaniny artystycznej. Natomiast w wybranym rodzaju tkaniny przemysłowej, którym w tym roku jest dywan, celem jest zaprezentowanie oryginalnego wzornictwa kreowanego przez współczesnych artystów.

Udział w wystawie wezmą artyści typowani przez wybitnych znawców problemu, wśród których znajdują się W. Bertheux, A. Boe i J. L. Larsen. Korzystając z ich uprzejmej rekomendacji Biuro Organizacyjne rozesłało zaproszenia do około 140 artystów z 30 państw. Z kolei każdy z 31 zaproszonych producentów dywanów (27 firm zagranicznych i 4 polskie) wytypuje do czterech prac.

W okresie trwania IV Triennale w salach wystawowych Łodzi będą mieć miejsce liczne wystawy towarzyszące, prezentujące współczesną tkaninę artystyczną. Organizatorzy spodziewają się licznego, podobnie jak przy III Triennale przyjazdu gości zagranicznych, dla których przewidziano spotkania z polskimi artystami i krytykami.

Wizyta wicekanclerza i ministra Spraw Zagranicznych RFN — Hansa-Dietricha Genschera w Warszawie, przyjęcie go przez Stanisława Kanię, Henryka Jabłońskiego i Wojciecha Jaruzelskiego, dwie tury rozmów z min. J. Czyrkiem — wszystko to wzbudziło duże zainteresowanie w Europie.

Stosunki Polska — RFN śledzone są zawsze z uwagą. Teraz, wobec wciąż utrzymującej się złożonej sytuacji w Polsce i na świecie tym bardziej. Komentatorzy zauważają przy tym, że boński minister przybył do Polski wkrótce po owych rozmowach w Waszyngtonie z prez. Reaganem i **Warszawa stała się pierwszą socjalistyczną stolicą, którą odwiedził.** Oczywiście w rozmowach warszawskich dominowała tematyka bilateralna, wynikająca z postanowień układu o podstawach normalizacji stosunków wzajemnych z 1970 roku, a w tym stosunki gospodarcze. Jednakże w każdym z komunikatów podkreśla się, że omówiono wiele aktualnych problemów międzynarodowych, a na konferencji prasowej Genscher stwierdził „zainteresowanie Polski i RFN dialogiem, który może się przyczynić do stabilizacji stosunków Wschód-Zachód". Zaprzeczył też szerzonym na Zachodzie opiniom o „zmierzchu odprężenia", mówił o podjętej w rozmowach **konieczności kontynuacji odprężenia i zapewnienia pokojowej współpracy.**

W nawiązaniu do swej wizyty w Waszyngtonie powiedział, iż nowa administracja amerykańska jest zdecydowana prowadzić dialog na temat kontroli zbrojeń i środków budowy zaufania.

W ub. tygodniu telewizja zachodnioniemiecka nadała program z udziałem min. Genschera, w czasie której poruszył on szereg problemów międzynarodowych. Wspomniał tam również o tym, że administracja Reagana chętnie chce prowadzić rozmowy z politykami europejskimi, traktuje je serio i nie pozostają one bez wpływu na kształtowanie jej linii polityki zagranicznej. Jeśli to stwierdzenie odpowiada prawdzie — być może wizyta w Warszawie przyczyni się do pełniejszego dialogu Wschód-Zachód.

Kilka dni wcześniej prez. Reagan udzielił wywiadu

TYDZIEŃ W POLITYCE

dziennikowi „New York Daily News", w którym powrócił do tematu proponowanego przez ZSRR spotkania na szczycie. Inaczej niż we wcześniejszej wypowiedzi rozłożył jednak w nim akcenty, stwierdzając, że spotkanie przy stole konferencyjnym nie dałoby pożytku, gdyby strona druga nie wykazała pewnych oznak zmiany stanowiska i działalności. Dodał też, że ZSRR chce rozpocząć rokowania na temat kontroli zbrojeń w momencie, gdy Stany Zjednoczone rozpoczynają program rozbudowy swych sił militarnych. Cały ten fragment **uznany został za ponowne usztywnienie stanowiska amerykańskiego.**

Wynika to również z wypowiedzi sekretarza stanu — Haiga w komisjach obu izb kongresu. Jej tematem była pomoc zagraniczna. Amerykański sekretarz stanu zapowiedział: pomoc militarną dla szeregu krajów Bliskiego Wschodu, ze szczególnym uwzględnieniem Izraela i Egiptu, ustalenie zasad pomocy wojskowej dla „zagrożonych państw afrykańskich" i Ameryki Środkowej — przy skoncentrowaniu się w najbliższym czasie na Salwadorze, przywrócenie współpracy militarnej z Chile, Argentyną i Brazylią oraz rozpatrzenie pomocy militarnej dla ruchów rebelianckich.

Całość tych zamierzeń robi wrażenie programu i odczytana została **jako zapowiedź, że nowa administracja będzie twarda, stanowcza i konsekwentna w działaniu.** Takie postępowanie ma wynikać z rzekomego radzieckiego zagrożenia w różnych punktach świata.

Oczywiście taki kurs polityki Waszyngtonu musiałby wzmóc napięcie i utrudnić porozumienie. Światu natomiast potrzebne jest coś wręcz odwrotnego — **pełniejsze odprężenie w stosunkach międzynarodowych.** Droga do tego może prowadzić przez rozwinięcie dialogu.

Pakiet radzieckich propozycji ze Zjazdu daje po temu dobrą okazję, a rozmowy dwustronne, choćby takie, jakie odbyły się w Warszawie z min. Genscherem, mogą służyć wyjaśnieniu stanowisk, przedkładaniu racji, a więc i nawiązywaniu tak potrzebnego kontaktu. Stawka jest przecież duża, chodzi o pokój i bezpieczeństwo narodów.

W. SŁAWSKI

LISTY DO REDAKCJI

W SPRAWIE „SOLIDARNOŚCI" I GOSPODARNOŚCI

Nawiązując do wywiadu „Solidarność znaczy gospodarność", zamieszczonego w nr 11 (1214) tygodnika „Odgłosy" z dnia 15.03.1981 r. Tymczasowy Zarząd MKZ Ziemi Łódzkiej NSZZ „Solidarność" uprzejmie prosi o zamieszczenie dodatkowo następującej informacji dotyczącej współdziałania z Delegaturą Najwyższej Izby Kontroli w Łodzi:

Do wykonywania czynności kontrolnych jednostek gospodarki uspołecznionej w zakresie ich działalności gospodarczej NSZZ „Solidarność" nie posiada — stosownie do postanowień statutu — uprawnień.

Inicjatywy członków NSZZ „Solidarność" w tym przedmiocie, wynikające z postanowień § 6, pkt 7 i § 7 pkt 8 statutu, MKZ Ziemi Łódzkiej wykorzystuje na zasadzie § 7 pkt 10 statutu związku, tj. współdziałania z władzami i organami administracji państwowej w zakresie wynikającym z przepisów prawa.

Zasady tego współdziałania określone zostały w statucie NIK i w uchwale Rady Państwa z dnia 17.12.1980 r. o trybie przeprowadzania czynności kontrolnych przez NIK. Formy i metody współdziałania w tym przedmiocie MKZ Ziemi Łódzkiej ustalił szczegółowo z dyrekcją Delegatury NIK w Łodzi podczas spotkania w dniu 13.2.1981 r. Dla zapewnienia stałych kontaktów w tym zakresie z Delegaturą NIK Tymczasowy Zarząd MKZ Ziemi Łódzkiej NSZZ „Solidarność" wyznaczył swojego przedstawiciela.

Dotychczasowa współpraca naszego związku z Delegaturą NIK kształtowana jest pomyślnie, wyrazem czego jest fakt wszczynania kontroli w jednostkach gospodarki uspołecznionej proponowanych przez MKZ Ziemi Łódzkiej. Propozycje te znajdują zrozumienie Delegatury NIK w Łodzi a w szczególności dyrektora Włodzimierza Twardowskiego i doradcy Stanisława Sobieszka, za co Tymczasowy Zarząd MKZ Ziemi Łódzkiej wyraża niniejszym podziękowanie.

Zamieszczone w nr 11 „Odgłosów" sformułowanie dotyczące działalności kontrolnej wykonywanej przez NIK i MKZ nie mogą być — w świetle powyższego — inaczej traktowane. W związku z tym Tymczasowy Zarząd MKZ Ziemi Łódzkiej poczuwa się — w imię poszanowania zasad współdziałania z Delegaturą NIK — do obowiązku zamieszczenia następującej informacji:

1. Kontrola w Przedsiębiorstwie Gospodarki Mieszkaniowej-Łódź-Górna przeprowadzana jest przez Delegaturę NIK w Łodzi z naszej inicjatywy z pełnym zachowaniem przez przedstawicieli NIK zasad współpracy określonych w § 11 ust. 2 uchwały Rady Państwa z dnia 17.12.1980 r. o trybie przeprowadzania czynności kontrolnych przez NIK;

2. W sprawie kontroli NIK dotyczącej „modrzewiowego dworku" napływa nie tylko do MKZ Ziemi Łódzkiej wiele informacji, stanowiących wyraz braku satysfakcji. W tym rozumieniu ujęta została wypowiedź kierownika Ośrodka Badań Działalności Gospodarczej MKZ Ziemi Łódzkiej.

Za niefortunnie sformułowane wypowiedzi pragniemy przeprosić Delegaturę NIK w Łodzi, wyrażając jednocześnie nadzieję, że fakt ten nie zaważy na dalszym, prawidłowym kształtowaniu współpracy z MKZ Ziemi Łódzkiej.

Kier. Ośrodka Badań Działalności Gospodarczej MKZ Ziemi Łódzkiej JADWIGA SZCZEŚKIEWICZ
Członek prezydium MKZ NSZZ „Solidarność" ZBIGNIEW ZDZIENNICKI

„SPRZEDANI"

Wobec treści artykułu opublikowanego w „Odgłosach" Nr 6 z dnia 8 lutego 1981 r. pt. „SPRZEDANI", Prokuratura Wojewódzka w Łodzi uprzejmie informuje, że zbadała szczegółowo opisaną sprawę i stwierdziła następujący stan prawny i faktyczny nieruchomości położonej w Rzgowie przy ul. Tuszyńskiej nr 54.

I.

Józef Wojdyn nie był właścicielem, spadkobiercą ani też samoistnym posiadaczem wymienionej nieruchomości. Właścicielką tej nieruchomości była Pelagia Sabina Bik, która zmarła w dniu 9 kwietnia 1979 r., pozostawiając jedynego spadkobiercę — siostrę Zofię Seidal, zam. w Anglii.

Zofia Seidal nie miała kwalifikacji do dziedziczenia gospodarstwa rolnego i dlatego też na podstawie art. 1063 k.c. Skarb Państwa stał się spadkobiercą ustawowym przedmiotowego gospodarstwa rolnego i Sąd Rejonowy w Pabianicach prawomocnym postanowieniem z dnia 31 grudnia 1979 r. w sprawie I Ns 878/79 stwierdził, że wchodzące w skład spadku gospodarstwo rolne położone w Rzgowie przy ul. Tuszyńskiej nr 54, dziedziczy w całości Skarb Państwa. W skład gospodarstwa rolnego wchodzą budynki oraz inwentarz żywy i martwy.

Wobec powyższego Józef Wojdyn nie miał prawa, zbywać, wynajmować lub podnajmować lokalu mieszkalnego w domu stanowiącym własność Skarbu Państwa.

Nadmienić trzeba, że transakcja opisana — jakoby Józef Wojdyn zbył lokal Leszkowi i Magdalenie małż. Tosiek za 5.000 zł — jest sprzeczna nie tylko z przepisami prawa, lecz i z zasadami współżycia społecznego, a więc na podstawie art. 412 k.c. świadczenie takie ulega przepadkowi na rzecz Skarbu Państwa.

II.

Urząd Gminy w Rzgowie w dniu 27.X. 1980 r. wydał ogłoszenie o sprzedaży gruntów Państwowego Funduszu Ziemi, tj. gospodarstwa rolnego wraz z budynkami i wszelkimi przynależnościami, położonego przy ul. Tuszyńskiej 54. Wartość gospodarstwa oszacowano na kwotę ogólną 213.500 zł.

Wnioski o nabycie wymienionej nieruchomości złożyli: Jan Pierzchałek, zam. we wsi Guzew, gm. Rzgów; Leszek Tosiek i Zbigniew Gałkiewicz.

Urząd Gminy odmówił sprzedaży przedmiotowego gospodarstwa Leszkowi Tosiekowi, gdyż zatrudniony on jest na stałe w Miejskim Przedsiębiorstwie Instalacyjnym w Łodzi, nie posiada gospodarstwa rolnego i zgodnie z rozporządzeniem Ministra Rolnictwa nie mógł nabyć gospodarstwa rolnego o pow. 2,81 ha.

Odmówiono również sprzedaży tego gospodarstwa Janowi Pierzchałkowi, właścicielowi gospodarstwa rolnego o pow. 16 ha 57 arów, gdyż jego gospodarstwo zadłużone jest na dzień 2.II.1981 r. — na rzecz Skarbu Państwa — na ogólną kwotę 1.967.846 zł. W swoim gospodarstwie hoduje w chwili obecnej 2 krowy i 23 szt. prosiąt.

Ze względu na powyższe okoliczności jako nabywcę wybrano Zbigniewa Gałkiewicza, zam. w Rzgowie przy ul. Nadrzecznej nr 14, który prowadzi gospodarstwo specjalistyczne o pow. 32 ha wspólnie z bratem i ojcem (w tym Zbigniew Gałkiewicz jest wyłącznym właścicielem ok. 8 ha gruntów rolnych). Gospodarstwo to nie jest zadłużone, uprawa zboża, nasion i krzewów ozdobnych przeznaczana jest w 50% na eksport do Szwecji i RFN.

Plony z gospodarstwa swojego Zbigniew Gałkiewicz zbywa za pośrednictwem Okręgowego Przedsiębiorstwa Hodowli i Nasiennictwa Ogrodniczego w Poznaniu oraz „ROLIMPEX" w Warszawie. W 1980 r. sprzedał wymienionym przedsiębiorstwom płodów za ogólną kwotę 1.060.344 zł. Ponadto rozwija hodowlę zwierząt i dlatego też on daje gwarancje należytego uprawiania gospodarstwa rolnego, a więc odpowiada warunkom nabywcy ziemi od PFZ.

Skarb Państwa — Bank Gospodarki Żywnościowej Oddział Wojewódzki w Łodzi aktem notarialnym z dnia 19.XII. 1980 r., sporządzonym w PBN w Pabianicach sprzedał opisaną nieruchomość rolną Zbigniewowi Gałkiewiczowi za kwotę 115.865 zł i nabywca należność tę uiścił w całości.

III.

Zbigniew Gałkiewicz po nabyciu od Skarbu Państwa opisanego gospodarstwa rolnego wraz z budynkami, w końcu grudnia 1980 r. postanowił objąć w posiadanie dwie wolne izby w nabytym domu. Jak się jednak okazało, dom ten nie nadawał się do zamieszkiwania z powodu zużytych belek stropowych. W związku z tym Zbigniew Gałkiewicz zlecił rzeczoznawcom mgr inż. Jerzemu Pawlicy oraz dr inż. Henrykowi Molskiemu dokonanie ekspertyzy stanu technicznego stropów w budynku przy ul. Tuszyńskiej 54 w Rzgowie. Wykazała ona, że stan techniczny stropu jest stanem przedawaryjnym i zagraża on życiu i zdrowiu użytkowników budynku. Z tych względów niezbędny okazał się remont kapitalny stropów. Ażeby tymczasowo odciążyć strop została zdjęta wyprawa betonowa, co zdaniem rzeczoznawców, nie zmniejszyło w istotny sposób warunków cieplnych pomieszczeń tam usytuowanych.

Należy podkreślić, iż Zbigniew Gałkiewicz nie kwestionuje uprawnień Jerzego Wojdyna i małż. Tosik do zamieszkiwania w przedmiotowym budynku, zaś ewentualne objęcie przez niego w posiadanie całości budynku musiałoby się łączyć z dostarczeniem przez tegoż Zbigniewa Gałkiewicza lokalu zamiennego.

Ze względu na opisany wyżej stan prawny i faktyczny w chwili obecnej nie znalazłem podstaw do podjęcia przez Prokuraturę czynności w ramach kontroli przestrzegania prawa, przy czym sprawa ta pozostanie nadal w zainteresowaniu Prokuratury Rejonowej w Pabianicach.

Z-ca prokuratora Wojewódzkiego w Łodzi dr JACEK RZĄDKOWSKI

UCHWAŁA ZARZĄDU ODDZIAŁU SDP W ŁODZI

Zaniepokojeni w najwyższym stopniu wydarzeniami na sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy w dn. 19.III.1981 r., gdzie wbrew prowadzonej od Sierpnia zasadzie dialogu między Polakami doszło do użycia siły, co zagraża nie tylko już zawartym porozumieniom społecznym, ale wręcz bytowi narodowemu, opowiadamy się raz jeszcze za drogą politycznego rozwiązywania napięć w naszym kraju. Popieramy więc te wszystkie siły w Biurze Politycznym KC PZPR z I sekretarzem Stanisławem Kanią i premierem Wojciechem Jaruzelskim na czele, które dążą konsekwentnie do przeprowadzenia odnowy widząc w niej jedyną, akceptowaną przez społeczeństwo, drogę wyprowadzenia kraju z najgłębszego kryzysu w powojennej historii Polski. Solidaryzujemy się z wszystkimi ludźmi dobrej woli, którzy niezależnie od przynależności organizacyjnej i światopoglądowej kierują się w swoim postępowaniu autentyczną troską o nasze dobro najwyższe, jakim jest los Ojczyzny. Potępiamy tych wszystkich, którzy w imię egoistycznych interesów dążą do narodowej tragedii hamując proces odnowy i podsycając konflikty.

Apelujemy do wielomilionowej rzeszy członków „Solidarności" o zachowanie rozwagi i spokoju, nie podejmowanie pochopnych akcji protestacyjnych, które obiektywnie służyć mogą siłom wstecznym.

Po zapoznaniu się z oświadczeniem dziennikarzy Pomorza i Kujaw przyjętym na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu SDP w Bydgoszczy w dn. 21.III.1981 r. w pełni solidaryzujemy się z zajętym przez naszych kolegów stanowiskiem.

Żądamy zatem podania do publicznej wiadomości zgodnego ze stanem faktycznym przebiegu zajść na sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy, a także ukarania wszystkich odpowiedzialnych za doprowadzenie do najgroźniejszego konfliktu między władzą a społeczeństwem. Domagamy się również zaprzestania manipulacji środkami masowego przekazu jak również stworzenia i zagwarantowania wszystkim dziennikarzom, wszystkim redakcjom prasy, radia, telewizji oraz agencji prasowych możliwości rzetelnego i uczciwego informowania społeczeństwa.

ZARZĄD ODDZIAŁU SDP W ŁODZI

Łódź, dn. 24.III.1981 r.

SPROSTOWANIE

1.

Pod kolumną wierszy Wandy Karczewskiej zamieszczonych w poprzednim, 12 numerze Odgłosów" z dnia 22 marca 81 opuszczona została nota informacyjna następującej treści: „Wiersze te, napisane jak wskazują daty zamieszczone przy nich powstały w r. 1956 i żaden z nich nie mógł z przyczyn niezależnych od autora i wydawnictw ukazać się w wydaniu książkowym".

2.

Pierwsza zwrotka wiersza pt. „DON KICHOT" winna brzmieć:

Niesprawiedliwie sądzeni wychodzą
z lochów na światło w koronach męczeńskich,
do stóp ich rąbek przychylany nieba
odkupia winy barbarzyńskich sędziów.

Przepraszamy — Red.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

W POWROTNEJ DRODZE

Wacław Opacki

W Prokuraturze Generalnej zapytano: — *czy zechce pani w wypadku procesu zeznawać.*

Odpowiedziałam twierdzącą.

Przed wojną byłam aktorką. Dużo czytałam. Także niemieckich twórców, szczególnie Goethego. Byłam zafascynowana jego literaturą, poezją. Czyż mogłam przypuszczać, że stanę się ofiarą zbrodniczego systemu — tego narodu, którego Goethe był wybitnym przedstawicielem? Czy mogłam wiedzieć, że piękne ideały miłości międzyludzkiej, czystości i humanizmu zastąpione zostaną „ziemią i krwią"?

Nie.

Ale w czasie koncentracyjnej gehenny o Goethem nie zapomniałam, więcej, częściej niż uprzednio powtarzałam sobie jego poezję.

Nad odpowiedzią w ogóle się nie zastanawiałam. Wiedziałam, że nie wolno mi jest milczeć. I to nie tylko z tego powodu, że pomna własnych tragicznych przeżyć szukałam sprawiedliwości, ale przede wszystkim w imię pamięci ofiar, które w krematoryjnych piecach obróciły się w popiół.

Obraz obozu towarzyszył mi w codziennym życiu, przeszkadzał w nocy. Wiem, że więziono w nim stale 40 tys. ludzi, kilka lat po wojnie dowiedziałam się, że planowano — 150 tysięcy. 30-hektarową powierzchnię obozu w Majdanku podzielono na 7 pól, ogrodzonych dwoma rzędami drutów kolczastych. Na każdym z nich wybudowano 22 baraki dla więźniów i baraki gospodarcze. Do tego doszedł plac apelowy i 18 wież wiertniczych. A także — 7 komór gazowych i 2 krematoria, do których doszły przy końcu wojny miejsca do spalania ciał na otwartym powietrzu.

Gdy obóz wyzwalała Armia Radziecka, mnie tam już nie było. Ale świat dowiedział się o okropnościach dziejących się na tej ziemi. Zamordowano w obozie ok. 360 tysięcy ludzi. Na terenie obozu znaleziono wysypisko 1300 m sześc. kompostu zmieszanego z kośćmi ludzkimi — nie udało się ich spalić w krematorium — który używano w charakterze sztucznego nawozu...

Kilka lat po przesłuchaniu w prokuraturze otrzymałam w Republiki Federalnej Niemiec „Ladung" czyli wezwanie, w języku niemieckim oraz w polskim tłumaczeniu:

„Sekretariat Sądu Krajowego syg. akt XVII/75 s.).

Szanowna Pani Iwona Stembrowicz! W sprawie karnej przeciwko oskarżonemu Hackmannowi i 13 innym oskarżonym z Republiki Federalnej Niemiec, stojącymi pod zarzutem morderstwa i innych przestępstw przewidziane jest przesłuchanie Pani na posiedzeniu rozprawy głównej w dniu.... przed XVII Izbą Sądu Przysięgłych Sądu Krajowego (Landgericht) w Düsseldorfie, Neubrackstrasse 3, sala 111. Na tę rozprawę jest Pani wezwana w charakterze świadka. Dalsze szczegóły proszę zaczerpnąć z załącznika niniejszego wezwania. Z poważaniem..."

Dalej podpisy, pieczęcie oraz stwierdzenie zgodności tłumaczenia

2 maja stanęłam przed salą 111.

Po chwili przyszła i na mnie kolej.

Zapytali, jak chcę być zaprzysiężona...

„Tak, proszę wysokiego sądu: proszę mnie zaprzysiężyć na krzyż" — szybko odpowiedziałam Więc się zdziwili, że jak świadek pochodzący z komunistycznego kraju może przysięgać na krzyż. Swemu oburzeniu szczególnie dał wyraz mecenas Bock.

Powtórzyłam, że jednak na krzyż, bo w naszym kraju są katolicy, którzy nie muszą się z tym kryć.

Sędzia Günter Bogen nacisnął guzik i krzyż zjechał przed moją osobę.

I mogłam wtedy przysięgać.

O Bocku wiele już słyszałam i czytałam.

Ludwick Bock, neonazista — członek NPD, w 1972 roku kandydował do Bundestagu. Obrońca Hildegardy Lächert. Szczególnie uwielbia *„Deutsche National Zeitung"*, redagowaną przez dr Gerharda Freya, którego od neonazistowskiej strony przedstawiać nie trzeba. Frey kieruje *„Deutsche Volksunion"*, której Bock jest radcą prawnym. W Düsseldorfie podda w wątpliwość istnienie *„jakiegoś tam" Endlösung"*. Jeżeli rzeczywiście było, to należy odnaleźć pisemne dowody. Wiedząc oczywiście, że Hitler rozkaz *„o rozwiązaniu kwestii żydowskiej"* wydał ustnie.

Mecenas Bock oficjalnie zaproponował także przewodniczącemu składu sędziowskiego — Günterowi Bogenowi wyznaczenie odosobnionego miejsca dla polskich świadków, którzy byliby doprowadzani pod strażą, po to, żeby można było ich obronić przed możliwą obrazą czy nieprzewidzianym odruchem któregoś z oskarżonych lub widzów.

Ingrid Müller w *„Sternie"* napisze o Bocku:

Obrońca w sprawach karnych z Mannheimu, Ludwig Bock, tak naprawdę odpręża się wtedy dopiero, gdy w piątek ładuje swego jamnika Seppela do rodzinnego samochodu i jedzie do Schwarzwaldu na polowanie na dziki. Lub, gdy cała czwórka jego dzieci jest już wieczorem w łóżku, a muzyka Brahmsa, Schuberta czy Bacha tworzy przytulny nastrój. Wówczas myśliwy sięga niekiedy po książkę, przegląda „Myśli i wspomnienia" Bismarcka, bądź też z przyjemnością czyta najnowsze uwagi Joachima Fernaua, niegdysiejszego sprawozdawcy wojennego w „Völkischer Beobachter" (...) Również i w Izraelu Bock zwrócił uwagę niekonwencjalnymi metodami. Dwie kobiety występujące w charakterze świadków w procesie załogi Majdanka opisywały, jak to mecenas Bock przedstawiał się w roli proizraelskiego adwokata, dziennikarza i badacza, który dąży do tego, by wszyscy winni stanęli przed sądem. Sprawa Bocka była z tego względu już przedmiotem dyskusji w Landtagu w Düsseldorfie i w izraelskim parlamencie (...)".

Obok Bocka gwiazdą procesu zbrodniarzy w Düsseldorfie jest Hermann Stolting z Frankfurtu. Broni on byłej dozorczyni SS, Herminy Botcher. Kiedyś był prokuratorem przy hitlerowskim Sądzie Specjalnym (Sondergericht) w Bydgoszczy i żądał tylko jednobrzmiących wyroków: kary śmierci. Potrafił także żądać 5 miesięcy obozu karnego dla 14-letniej dziewczynki — za podanie cukierków jeńcom brytyjskim. Trzy lata temu w wywiadzie telewizyjnym powiedział, że jeszcze dziś podtrzymuje stawiane przez siebie wnioski o karę śmierci, i w takich samych warunkach jeszcze raz by je postawił. Po wojnie interesowano się przeszłością Stoltinga.

„Dochodzenie przeciwko niemu — napisał „Stern" — *zostało jednak szybko wstrzymane, ponieważ mógł on być pociągnięty do odpowiedzialności z powodu tego, że domagał się kary śmierci tylko wówczas gdy był świadom, iż narusza prawo i ustawę. Tej świadomości nie można było jednak Stoltingowi udowodnić, podobnie jak wszystkim prawnikom, którzy wówczas brali udział w wydawaniu krwawych wyroków".*

Stolting odegrał niechlubną rolę obrońcy w procesie byłych oprawców oświęcimskich trwającym od 20 grudnia 1963 r. do 19 sierpnia 1965 r. we Frankfurcie n. Menem. Wtedy bronił Emila Bednarka, także w wywodach bronił głównego oskarżonego Roberta Mulka, adiutanta komendanta obozu Auschwitz.

Stolting od 1962 r. do 1967 r. był prezydentem zachodnioniemieckiego Związku Ochrony Zwierząt i walczył o to, by najbardziej zasłużone czworonogi zostały odznaczone medalami... W 1970 r. NPD wysunęła Stoltinga jako swego kandydata w wyborach do Landtagu w Hesji.

W ławie obrońców znajduje się także mecenas Mundorf. Gdy jeden z polskich świadków opowiada o selekcjach, swoistej licytacji życia i śmierci, gdy mówi o bestialstwie oskarżonych, o ich cyniczności — Hans Mundorf zerwie się z krzesła i krzyknie:

— *Nie stwierdziłem tutaj u oskarżonych cyniczności.*

Świadek mówi o transporcie żydowskich dzieci do Łodzi. Plastycznie opowiada jak *„Kobyła"* zamordowała kilkuletniego chłopca, który nieopatrznie wyszedł z szeregu. Wszystkie dzieci zostały zamordowane, o czym wywnioskowała po zakrwawionych ubrankach, które potem zostały przysłane do obozu. I tu się włącza znowu Mundorf, który żąda usunięcia tego zeznania, gdyż sprawa ta nie była podana we wniosku skierowanym do amerykańskich władz o ekstradycję.

„Kobyła" to Hermine Ryan-Braunsteiner, była Aufseherin, a obecnie zamieszkała w Essen. Braunsteiner była spokojną obywatelką Stanów Zjednoczonych, ale jej przeszłość została ujawniona dzięki ukazaniu się w Ameryce książki Danuty Brzósko-Mędryk *„Niebo bez ptaków"*, opisującej przeżycia na Majdanku. Braunsteiner zostało odebrane obywatelstwo w wyniku trwającego kilka lat procesu, następnie stanęła ona jako podsądna w pierwszym na terenie Ameryki procesie o ekstradycję nazistki. 23 stycznia 1973 r. wniosek o ekstradycję złożyły także władze polskie. Wydany w marcu 1973 r. wyrok przychylał się jednak do wniosku zachodnioniemieckiego...

Po dłuższej wymianie zdań Mundorf idzie na całego: stawia wniosek o wykluczenie całego kompletu sędziowskiego z rozprawy, ponieważ jest on stronniczy. Sąd zarządza przerwę, po której ogłasza postanowienie, że wniosek zostanie rozpatrzony przez przewodniczącego Sądu Krajowego, a jego wynik będzie ogłoszony dnia następnego. Decyzja jest dla Mundorfa negatywna. Świadek opisuje więc dalej. *„Kobyła"* nagle wstaje i zaczyna krzyczeć. Robi się cisza, po której adwokat stawia wniosek o lekarskie badanie zdolności oskarżonej do uczestniczenia w dalszej części procesu. Wynik jest tym razem pozytywny, sąd zarządza przerwę w procesie.

Mundorf nie tylko takich wybiegów użyje, żeby odwlec koniec procesu. Zaszokuje także oświadczeniem:

„Sąd winien zlecić lekarzowi i weterynarzowi sporządzenie ekspertyzy na temat zapachów. Tylko w ten sposób będzie można wyjaśnić czy w obozie koncentracyjnym na Majdanku spalani byli rzeczywiście ludzie a nie zwierzęta".

To on także był inicjatorem prowokacji z polskim świadkiem Henryką Ostrowską, która jako więzień Majdanka dostarczała puszki z cyklonem do komór gazowych.

Powiedział: — *Czy nie byłoby celowe pouczenie świadka o odpowiedzialności karnej, bo jeśli wiedziała ona do czego była stosowana trucizna, to znaczy że była współsprawczynią.*

Wtrącił się wtedy Bock z wnioskiem o aresztowanie świadka, bo skoro świadek przenosiła paczki z cyklonem „B" z magazynu do komór gazowych, to brała udział w mordowaniu ludzi. Oczywiście wiedząc doskonale, że świadek tak jak tysiące innych więźniów do wielu czynności była zmuszana.

Ja zostałam aresztowana 13 listopada 1942 roku w Warszawie przez gestapo. Trafiłam na Pawiak, skąd przewieziono mnie do obozu. W obozie pracowałam w szpitalu, w którym lekarzem był SS-untersturmführer Wilhelm Reinartzt.

I teraz miałam właśnie w jego sprawie zeznawać. Przede wszystkim. Bo także zapamiętałam dobrze *„Krwawą Brygidę"*, /czyli Hildegarde Lächert. Czułam na sobie jej wzrok i czytałam jej myśli. W duchu na pewno mówiła: *„gdybym wiedziała, to dawno bym cię zmoro zabiła, rozszarpała i puściła z dymem".*

Czułam się nie jako świadek, ale jak oskarżona. Działo się to za przyczyną pytań obrońców, zwłaszcza mecenasa Bocka, który niedorzecznymi wątpliwościami zadawał mi straszny ból.

Opisując obozowe przeżycia przeżywałam tragedię, a oni się śmiali, albo wprost — kpili.

Robiło mi się często słabo, więc sędzia zarządzał przerwę.

Myśmy Reinartzta nazywali *„Zębatym"*. Miał szczękę wystającą i taką zajęczą twarz. I nie mogłam go rozpoznać na procesie z bardzo prostej przyczyny: Reinartzt zrobił kosmetyczną operację, która jego twarz uczyniła zupełnie normalną. I wszyscy o tym mówili, ale ja o tym dowiedziałam się dopiero po procesie.

Na Majdanku widziałam, jak Reinartzt dokonywał śmiertelnych zabiegów. Kazał na przykład opróżniać barak, do którego przyprowadzano Żydówki, którym robił zastrzyk.

Agonia trwała dwie godziny.

Pamiętam chłopca, który miał dyfteryt. Reinartzt przyszedł i przeciął jemu krtań.

Bock: — *Jeżeli tak było, to niech pani powie, o której dokładnie było to godzinie?*

— *Ja pamiętników w obozie nie pisałam* — odpowiedziałam. — *Jestem tylko człowiekiem panie mecenasie. A po drugie, czy ktoś w obozie miał zegarek na ręku?*

W drugim dniu moich zeznań stanęła sprawa eksterminacji Żydów. Zarzucili mnie, że staję w ich obronie i dlatego jestem tendencyjna w swoich zeznaniach, ponieważ sama jestem Żydówką. Odpowiedziałam, że jest to nieprawdą — jestem Polką. Ale gdybym nawet była Żydówką, to dlaczego nie miałabym zeznawać obiektywnie o strasznych zbrodniach, które hitlerowcy popełnili. Mecenasi często powoływali się na prawa człowieka, więc im odparowałam: — *przecież Żyd, to też człowiek.*

Ja płakałam, a oni się śmiali.

3 listopada była największa masakra Żydów, hitlerowcy zabili jednego dnia 18 tysięcy.

Poprzedniego dnia na apelu padła komenda: *„Alle Juden austretten!"*. Już wtedy nie mieliśmy wątpliwości, co się stanie z ludźmi oznaczonymi czerwono-żółtymi gwiazdami syjońskimi na lewej piersi. Żydzi zostali przegrupowani na V pole.

Nas zaś przeniesiono na pole I.

W Waschbaracke rozbierali się do naga, potem wąskim przejściem pojedynczo przechodzili między szpalerami ustawionych esesmanów, wchodzili do głębokich rowów, gdzie układali się warstwami. Serie karabinów maszynowych. Potem następna partia, która kładła się na nieżyjących. Esesmani wtedy dostali strasznie dużo wódki. Reinartzt przyszedł *„po pracy"* strasznie pijany, przewracał się. Nie ma co się dziwić. Mordował wtedy przez 12 godzin bez przerwy.

Proces był dla mnie koszmarem. Byłam szczęśliwa, gdy wsiadłam w pociąg jadący do Polski.

W połowie listopada upłynął dokładnie rok trwania procesu oprawców z Majdanka.

Pięć lat temu w ławach sądu krajowego miało ich zasiąść 16, ale już wówczas dwóch się nie stawiło z powodu złego stanu zdrowia. Czterech zbrodniarzy w kwietniu 1979 r. zostało uniewinnionych z powodu „braku dowodów winy". Zostało dziewięciu.

Nic nie zapowiada, aby proces się już skończył, a przecież jeśli doliczyć okres śledztwa, to łącznie okres postępowania karnego przeciwko oprawcom z Majdanka wynosi 20 lat.

W obozie znajduje się pomnik, który składa się z dwóch części: pierwsza symbolizuje gigantyczną bramę — symbol tragedii, nadziei i zwycięstwa, druga — to biegnąca prostopadle od pomnika długa droga — droga męki — którą kończy druga część pomnika: Panteon-Mauzoleum, gdzie zostały złożone w olbrzymiej czaszy prochy ofiar Majdanka. Na froncie kopuły mauzoleum jest napis: *LOS NASZ — DLA WAS PRZESTROGA.*

Proces ten jest szczególną przestrogą. Chciałoby się też powtórzyć: *„Gott straft die Völker mit Blindheit"*, co znaczy: *„Bóg karze narody ślepotą".*

LISTY DO REDAKCJI

„ALKOHOLODRAMA"

Pozwalam sobie zwrócić się do Redakcji z prośbą o zamieszczenie odpowiedzi, do której skłania mnie artykuł pana Andrzeja Makowieckiego, ogłoszony w „Odgłosach", w n-rze z 15 marca br. p.t. „Alkoholodrama". Do zgłoszenia zastrzeżeń skłania mnie też doświadczenie w mojej dwudziestopięcioletniej pracy w prezydium wojewódzkiego oddziału Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego, także współpraca z Zarządem Głównym Komitetu.

Artykuł zawiera opis kolejki jaka uformowała się już od wczesnych godzin rannych dnia sobotniego przed sklepem wódczanym przy zbiegu ulic Andrzeja i Lipowej w Łodzi. Sceny, rozmówki są oddane z wiernością, dowcipem, ze zdolnością do podchwytywania rodzajowych obrazków wódczanej socjety, do której można zastosować słowa Miłosza. „... przez cienkie szkło skazańcy idą..." („Traktat moralny").

Reportaż p. Makowieckiego nie jest pozbawiony tendencji. Z żywiołowego parcia na sklep z wódczanym dobrodziejstwem, parciem nie liczącym się z utrudzeniem i stratą wielu godzin dnia, ma wynikać powszechność potrzeby, którą należy zaspokoić i w żadnym wypadku nie podnosić ceny.

Walorom żywego, zajmującego opisu należy przypisać zamieszczenie przez Redakcję artykułu, wszakże z zaopatrzeniem w uwagę, że Redakcja nie podziela poglądów autora. (...)

Konieczność utrzymania istniejącej ceny i odrzucenie wszelkich myśli o podwyżkach, przewija się złotą nicią przez cały tok narracji o dziejach falującej ulicznej kolejki. Teza nie jest pozbawiona „mocnych" argumentów. A więc na początku już można usłyszeć jak kobiety histerycznymi głosami domagają się podwyższenia cen na alkohol. „Dotąd mąż takiej mądrali przepijał połowę, jak podniosą ceny — przepije wszystko. Bo kto pił, ten będzie pił. Nie przerazi go żadna podwyżka". W ten sposób połowa rodzin polskich pójdzie z torbami, a najwięcej ucierpią kobiety i dzieci. Autor sam śledził ceny alkoholu w kilkudziesięciu krajach świata i „relatywnie rzecz biorąc, w stosunku do zarobków, alkohol w Polsce jest nie tylko drogi ale szalenie drogi" (słowa podkreślone). No i ostatni argument: „Ludzie, puknijcie się w czoło! (...) Kto musiał okradać tylko rodzinę, odtąd zacznie okradać zakład pracy, odtąd zacznie włamywać się do sklepów, a kiedy i to nie wystarczy — kropnie kogoś w łeb". Można powiedzieć że zagraża nam wizja powszechnej katastrofy. Trzeba powiedzieć, że autor przyznaje w końcu, że na całym świecie rosną ceny alkoholu. Nie zdziwi się też, jeżeli wzrosną u nas o pięć, no nawet o dwadzieścia procent, ale horrendum, nie o pięćdziesiąt!

Odosobniony paniczny głos obawy podwyżki na „wodę życia" nie powodowałby potrzeby repliki, gdyby nie był opublikowany w poczytnym periodyku i gdyby nie nastąpiło to w okresie aktualnych prac nad kształtem nowej ustawy o zwalczaniu pijaństwa i alkoholizmu i oczekiwanej szerokiej dyskusji nad założeniami nowego prawa, no i by nie stwarzać podstaw do domniemania znanego jeszcze Rzymianom: qui tacet consentire videtur (kto milczy widocznie się zgadza.

Pan Makowiecki popełnia błąd logiczny przyjmując część za całość. Piją wszyscy, miliony, ale nałogowymi alkoholikami, którzy piją i będą pić wobec chorobliwego głodu alkoholu są przecież tylko niektórzy. Dlaczego ich potrzeby mają decydować o zasadach dla wszystkich? Nawet ci, którzy piją dużo i często, nie są jeszcze alkoholikami w znaczeniu medycznym. Należy podjąć wobec nich wszelkie środki profilaktyczne — utrudniania zaopatrywania się, udaremniania okazji wypicia. (...)

Obok cen istnieją bowiem i inne metody profilaktyki: ograniczenie ilości punktów sprzedaży, ograniczenie sprzedaży w określone dni i godziny, zakazy miejscowe, pojemność naczyń. Istnieje też obszerna literatura przedmiotu poświęcona omawianemu zagadnieniu.

Na zakończenie można dodać uwagę, że sytuacja rodzin dotkniętych alkoholizmem jest oczywiście ciężka. Alkoholizm nałogowy, to jednocześnie strata zdolności do współżycia rodzinnego i do systematycznej pracy. Każda rodzina alkoholika znajduje się w rozpadzie. Ułatwienie w drodze niskich cen na alkohol nie wydaje się skutecznym środkiem uzdrowienia, co najwyżej może powodować wzmożenie aktów agresji i znęcania się nad członkami rodziny pod wpływem alkoholu, jeśli jeszcze mieszkają razem.

Witold Kotowski

* * *

Chcę w tej formie wyrazić moje skromne uznanie dla Andrzeja Makowieckiego, autora artykułu — reportażu — polemiki pt. „Alkoholodrama" (Odgłosy 11). Szacunek wzbudza trafność i rzetelność analizy, ujmuje zaś autentyzm i szczerość wypowiedzi. Makowiecki podobnie jak Hrabal, czy Himilsbach dostrzega w codziennej i zdawałoby się bezbarwnej rzeczywistości sprawy ważne i znaczące. Oto wielometrowa kolejka z „rozdętą i zdenerwowaną głową" — znamienny atrybut kryzysu gospodarczego, nieodłączny i spowszedniały uliczny ornament wtopiony przez dziesiątki lat w urbanistykę małych i dużych miast, w architekturę wioskowych sklepów i kiosków — znalazła jakby swojego prawdziwego odkrywcę... Również autentyczny i frywolny język ulicznego tłumu czynią z tego paraliterackiego obrazu — protestu znamienny dokument — relację z ostatnich znojnych dni, dokument, który jeszcze tak niedawno mógłby być potraktowany jedynie jako opis fragmentu ze złego surrealistycznego snu.

Istotę artykułu stanowi nie tylko bezwzględna negacja alkoholizmu i jego wszelkich znamion, autor wyraża również protest wobec diagnoz i zasad działania tych pseudoznawców problemu, którzy jednogłośnie osądzają, iż głównym i najbardziej skutecznym orężem w walce z nałogiem i plagą społeczną jest drakońska podwyżka cen alkoholu. Makowiecki wskazując na konsekwencje błędów ekonomicznych ostrzega przed kolejnymi, nie przemyślanymi decyzjami, przed pozorem i fałszem bezdusznej jednomyślności („cudowny, zgodny i skwapliwy chór"), która doprowadziła przecież naszą gospodarkę do doszczętnej niemal ruinacji. Być może argumentacja autora jest zbyt jednostronna i może dlatego redakcja nie podziela jego opinii — nie potrafię tego rozstrzygnąć. Jednakże na pewno godne podkreślenia jest to, że Makowiecki wyłamuje się z powszechnej, koniunkturalnej jednomyślności i powiada: „Ludzie, puknijcie się w czoło" — a dotyczy to wszystkich, nawet kolegów po piórze.

Jerzy Kosiewicz

GDAŃSK STOCZNIA — pół roku później

Dalszy ciąg ze str. 1

518 delegatów z całej stoczni wybrało 94-osobową Komisję Zakładową, liczącą 9 osób Komisję Rewizyjną i 11-osobowe prezydium, którego przewodniczącym został *Lech Wałęsa*. Tak zakończył się kolejny, trwający pół roku rozdział w dziejach stoczni, które już dwukrotnie mocno splotły się z najnowszą historią Polski.

Co się zmieniło od Sierpnia?

1

Od siódmej rano, siedząc w pokojach „Solidarności", znajduję się w krzyżowym ogniu pytań, telefonów, interwencji... Ktoś pyta o godziny przyjęć *Wałęsy*, ktoś inny szuka kleju. Jeden telefon przestaje wystarczać, trzeba będzie założyć go również w drugim pokoju. W korytarzu grupka stoczniowców czeka na panią prawnik, która jakoś nie nadchodzi ze Stoczni Północnej. Nad moją głową trwa dyskusja jak urządzić Dzień Kobiet. Obok parę osób zastanawia się co zrobić, jeśli Dział Socjalny nie chce zwracać za wczasowe bilety. Jakiś starszy robotnik — nerwowo kręcąc kaskiem — przypomina, że nie dostał jeszcze „godzin" na załatwianie spraw związkowych, a jeśli dalej będzie to robił kosztem pracy, odbije mu się na zarobkach...

— *Jesteśmy jeszcze w stadium organizowania się.*

— *Nikt tu nie ma etatów, oddelegowano nas ze starych miejsc pracy.*

— *Pierwsze podziały na komisje mają charakter tymczasowy, są próbą, na trzy miesiące. Zobaczymy, jak kto się sprawdzi* — notuję urywki zdań rzucanych w biegu między jedną sprawą a drugą.

Stanisław Bury, członek Prezydium KZ i łącznik stoczni z gdańskim MKZ, rozkłada na stoliku „schemat problemowy organizacji związkowej Stoczni Gdańskiej". Dół drabiny zajęło sześć komisji wydziałowych, a prawą stronę — podporządkowane prezydium — podkomisje problemowe. Moją uwagę zwraca komisja ochrony praw, godności i interesów pracowników. Członek tej komisji i prezydium KZ *Jan Koziatek* wyjaśnia, że oprócz wymienionych na schemacie czterech podkomisji, istnieje kilka innych, które powstawały jeszcze w czasie strajku, albo już po utworzeniu w stoczni Komitetu Założycielskiego NSZZ. Są to m.in. komisje postulatowa, do spraw zapomóg losowych, do spraw rehabilitacji pracowników niepełnosprawnych, a także komisja do spraw przestępstw, czyli stoczniowa „lotna brygada", tropiąca różne wewnętrzne nieprawości. Dzisiaj jednak jeszcze nie wiadomo, czy wszystkie przetrwają, czy pozostaną w starym kształcie, czy będą włączone do nowej struktury. I którzy ludzie będą chcieli w nich pracować.

Lech Wałęsa powiedział na konferencji wyborczej w stoczni, że ludzie, którzy zainicjowali nowy ruch związkowy i sprawdzili się w walce, nie muszą sprawdzać się w zwykłej, szarej pracy związkowej. I to się potwierdza także tutaj, wystarczy przejrzeć skład Prezydium Komitetu Założycielskiego NSZZ z połowy września 1980 roku i porównać z listą osób, które w wyniku lutowych wyborów weszły do Komisji Zakładowej. W połowie to już inni ludzie. Np. w dawnym składzie nie było *Alojzego Szablewskiego*, wówczas tylko członka komitetu, dziś — „pierwszego po Bogu". To jemu właśnie *Wałęsa* — oddelegowany wraz z *Anną Walentynowicz* do pracy w MKZ — przekazał obowiązki urzędującego przewodniczącego. *Wałęsa* był już po strajku honorowym przewodniczącym, gdy faktycznie Komitetowi Założycielskiemu szefował *Koziatek*.

Inżynier *Szablewski*, związany ze stocznią 29 lat, do niedawna pracownik biura projektowo-konstrukcyjnego nie przewidywał — jak chyba wszyscy — że ruch tworzenia niezależnych związków przybierze takie tempo i rozmiary. — *W stoczni* — wspomina — *ludzie rzucali na stos legitymacje Związku Metalowców* (ten stos pokazał Szablewski gościom z CRZZ...). W końcu września do nie zarejestrowanego jeszcze związku należało już ponad 12 tys. osób. W początkach marca br. było ich 14 tys. 900 (na ok. 16 tys. pracowników, a 17 tys. łącznie z emerytami). Liczba ta stale rośnie. W pierwszych dniach po wyborach sekretariat „Solidarności" przeżywał oblężenie rencistów i emerytów. Jeden z nich miał w swej starej legitymacji związkowej datę wstąpienia 1946.

2

— *Sześć miesięcy życia po strajku to był okres brzemienny w skutki dla Stoczni im. Lenina* — powiedział na konferencji wyborczej dyrektor naczelny *Klemens Gniech*.

Dyr. *Gniech* przetrzymał Sierpień i późniejsze niepokoje, mógł więc podziękować ustępującemu Komitetowi „Solidarności" za dobrą współpracę (acz trudno mówić o sielance). A współpraca ułożyła się tak również dzięki temu, że w stoczni nie było „wygryzania" ze stołków. Zamiast tego „Solidarność" pilnie zbierała postulaty i przekazywała je dyrekcji. Ta — jeszcze we wrześniu — powołała Zakładową Komisję Postulatów i Wniosków. Tak zwane wnioski zewnętrzne przekazano instytucjom nadrzędnym (dotyczyły spraw ogólnych, socjalnych i nowej Karty Stoczniowca, która dotąd nie obejmowała wszystkich pracowników stoczni).

Wśród postulatów wewnętrznych był — a jakże — i nurt „rozrachunkowy". Stoczniowcy zażądali m.in. ujawnienia list osób, które otrzymywały przydziały na samochody i telewizory kolorowe i korzystały z wycieczek zagranicznych.

Ale nie te sprawy były najważniejsze.

Tomasz Moszczak, który przyszedł do stoczni zaraz po Grudniu (— *Praktycznie dzięki temu przyszedłem* — podkreśla) i pracuje jako konserwator maszyn i urządzeń cyfrowych w dziale przetwarzania informacji (którymi zajmuje się również jako rzecznik prasowy „Solidarności") mówi, że gdyby chcieć traktować warunki bhp panujące w stoczni zgodnie z oczekiwaniami, trzeba by chyba zamknąć zakład...

— *Bhp też, ale chodzi o całą organizację pracy* — uzupełnia *Jan Koziatek*.

Co prawda rodzi się pytanie, czy usprawnianiem tej organizacji powinna zajmować się „Solidarność"? *Lech Wałęsa* podkreśla ciągle, że nie to jest głównym celem związku, lecz obrona interesów pracowników — jego członków. Ale tutaj, w stoczni, bezpieczne i dobrze zorganizowane warunki pracy są — na razie przynajmniej — tematem, który musi interesować wszystkich. Także „Solidarność". Toteż jej przedstawiciele biorą udział w specjalnie powołanej komisji do spraw organizacji stanowisk pracy. W wyniku prac tej komisji i specjalistów ma powstać nowy system organizacji produkcji; to — według słów dyr. *Gniecha* — jedno z najważniejszych zadań. Wiadomo np., że tylko poprzez lepszą organizację pracy będzie można całkowicie zlikwidować to, co było dotąd zmorą stoczniowców, co odbierało ojców i mężów rodzinom — pracę w „nadgodzinach".

Mieczysław Galikowski z Szefostwa Technicznego nie ma szczególnych kłopotów z wynajdywaniem takich miejsc, które koniecznie trzeba dziennikarzowi pokazać, aby się przekonał co to jest praca w stoczni. W wydziałach kadłubowych, gdzie pod gołym niebem i na gołej ziemi przygotowuje się tzw. sekcje statków, a także na pochylniach, o widoki takie nietrudno. Tu człowiek ze spawalniczym aparatem musi wleźć wszędzie, wcisnąć się w najciemniejsze zakamarki kadłuba, ciągnąc za sobą przez niewielkie otwory materiał, przewody, elementy wyposażenia. Taki już charakter tej roboty, że tam — w głębinach statku, między warstwami blach — trzeba wdychać dym i swąd płonących elektrod i rozpylony metal: żelazo i cynk, którym — jako składnikiem warstwy ochronnej — pokrywa się stal. A wszystko to często na mrozie albo w deszczu, albo w upale. Nieraz — siedząc nad głową kolegi, który pod spodem robi to samo, albo bije młotem czy wierci świdrem. Stocznia dusi się już w ciasnej obręczy portu i miasta. Nie tylko więc elementy składuje się w kilku warstwach, ale i pracuje się piętrowo, warstwami...

— *Stoczniowca łatwo poznać w tłumie, po tym, że głośno mówi* — powiada *Galikowski*. Zagłuszają go ciężkie uderzenia młota we wnętrzu kadłuba, który działa jak pudło rezonansowe. Ponad dudnieniem przebija się wycie szlifierek.

Z powodu tych warunków w stoczni ciągle rośnie liczba zachorowań na choroby zawodowe. Szaleje pylica, żelazica, kobietom-spawaczkom — taką m.in. była przez lata *Anna Walentynowicz* — zagrażają nowotwory. W 1980 roku zanotowano 54 przypadki chorób zawodowych. Ale człowiekowi, który na skutek wykonywanych zajęć stracił zdrowie, praktycznie nie można nic zaoferować, bo w stoczni nie ma pracy lekkiej, jest tylko nieco lżejsza od poprzedniej.

W 1980 roku przeniesiono na inne stanowiska 214 osób, ale ponad 2 tysiące pracuje na tych samych, mimo zaleceń lekarzy. Wnikliwsza opieka nad chorymi i niepełnosprawnymi, a także powołanie oddziału pracy chronionej — są to sprawy, o których od dawna mówi się w dyrekcji i „na dole".

Nie wszędzie w stoczni automaty mogą zastąpić człowieka. Poza tym ludzie nie zawsze chcą lub mogą korzystać z urządzeń ogrzewczych, czy wentylacyjnych.

— *Po Sierpniu zaczęło się jednak deptać służbom bhp po piętach* — mówi *M. Galikowski*. Coraz częściej też pojawiają się głosy, by uniezależnić je od dyrekcji. Wtedy mogłyby lepiej wypełniać swoje obowiązki wobec zakładu i ludzi.

Galikowski: — Może za trzy lata stoczniowcy z kadłubowni nie mieliby powodów do strajku. Ale wciąż przesuwa się zakończenie prac przy Ośrodku Budowy Kadłubów...

— *Dobrze byłoby maksimum prac kadłubowych wprowadzić pod dach* — przyznaje inż. *Jan Piosik*, główny specjalista do spraw koordynacji. — *Są takie stocznie, np. w Szwecji, gdzie całe statki buduje się pod dachem. I takie też jest założenie modernizacji naszego zakładu. Tylko, że ośrodek powstaje w bólach.* A ośrodek to przyszłość stoczni.

Podobnie — można dodać — jak nowy most, który zastąpi obecny, pontonowy, jak zmodernizowane nabrzeża, nowy zakład prefabrykacji... Ale na razie w cynkowni trzeba było stawiać nowe ściany, bo zżarte przez kwasy — runęły. Ale na razie stoczniowa kuźnia i odlewnia pracują po staremu w stuletnich budynkach. Ale na razie: pyły i wyziewy, mróz i 50-stopniowy upał, promieniowanie i wibracje. Jeszcze długo w takich warunkach rodzić się będzie 20—30 statków w roku (w tym zwykle 5—8 nowości). Także: silniki okrętowe i kotły dla kraju i zagranicy.

Sierpień rozwiał chyba ostatecznie mity o zarobkach stoczniowców. — *Nigdy nie mieli specjalnych tabel* — podkreśla *Galikowski*. — *Ich płace windowały w górę „nadgodziny" i dodatki za pracę szkodliwą. Dodatki te sięgały jednej trzeciej pensji. Ale to i tak nie było dużo.*

Nic dziwnego, że po strajku na pierwszy ogień poszły do rozpatrzenia — wynikające z porozumienia — postulaty płacowe. Inne, produkcyjne, socjalne, rozwiązuje się na bieżąco, siłami stoczni. Co już załatwiono konkretnie?

Inżynier *Piosik* wertuje kilkudziesięciostronicową broszurkę — wykaz postulatów...

— Zapewnić właściwą i skuteczną wentylację w czasie prac malarskich. — *To już załatwione.*

— Zaostrzyć kontrolę bhp przeciwpożarową na statkach w czasie ich wyposażania. — *Również.*

— Prace kadłubowe przewidziane do wykonania na pochylni muszą być tam bezwzględnie wykonane. — *Tego się przestrzega.*

— Zapewnić wydziałom niezbędną ilość respiratorów dla spawaczy. — *Załatwione, na razie.*

— Przydzielić dla potrzeb zakładowego szpitala samochód dla transportu leków i urządzeń. — *W porządku.*

— Sprawiedliwie przydzielać mieszkania najbardziej potrzebującym... W stoczni od lat oczekuje 2 tys. podań. Na konferencji „Solidarności" padały postulaty stworzenia specjalnego przedsiębiorstwa budującego domy dla stoczniowców. Inżynier: — *O sprawiedliwość troszczy się komisja.*

— Zaostrzyć sankcje wobec rozprowadzających i pijących alkohol w zakładzie...

Strajkową dyscyplinę, która zakazywała picia alkoholu, podziwiała cała Polska. Poza tym na żądanie Komitetu Strajkowego zaprzestano sprzedaży alkoholu w całym województwie. Dzięki strajkowi zarysowała się szansa zerwania z fatalną tradycją.

Po strajku samorzutne grupy pracowników demaskowały w stoczni pijących i handlujących alkoholem. 12 października stoczniowcy wystosowali apel *„do wszystkich ludzi dobrej woli"*, wypowiadając wojnę piciu w czasie pracy.

3

W planach nowo wybranej Komisji Zakładowej jest również powołanie komisji do walki z alkoholizmem. Ale stosunek do tego problemu jest tylko jednym z elementów postawy mobilizacji, która ogarnęła stoczniowców, gdy po strajku przystępowali do pracy.

Stoczniowcy nie tylko w chwili zrywu potwierdzili swą odpowiedzialność i dojrzałość społeczną. Choć trudno w to uwierzyć, ale już we wrześniu Stocznia im. Lenina wykonała plan w 97 procentach! Mimo iż w sierpniu nie pracowano przez trzy tygodnie, do końca roku zadania zostały wykonane, zaś wskaźnik produkcji osiągnął poziom 110 proc. i to — jak podkreśla dyr. *K. Gniech* — wcale nie poprzez wzrost ilości przepracowanych „nadgodzin". Podobnie straty, jakie przyniósł styczeń 1981 roku, odrobiono w lutym.

Stocznia powiązana jest z krajem tysiącem więzów kooperacyjnych. Wiele z nich po Sierpniu przerwało się, na stocznię spadło dodatkowe obciążenie. Mimo to stoczniowcy nie uchylają się od nowych, trudnych zadań. Do takich należy podjęcie — jedynej w Europie — produkcji żaglowców.

Początek jej dała już „Pogoria". A w dniu w którym byłem w stoczni, gdańskie gazety i zakładowy radiowęzeł donosiły o uroczystości pierwszego cięcia blach pod nowy polski żaglowiec „Dar Młodzieży", która odbyła się 4 marca. Nowa fregata, której koszt ocenia się na pół miliarda złotych (dotychczas zebrano 220 mln) — największa budowana ostatnio w Europie — zastąpi wysłużony „Dar Pomorza".

Będzie *„pomnikiem społecznego zaangażowania w sprawy Polski morskiej"*, jak określił rektor Wyższej Szkoły Morskiej *Daniel Duda*. Przede wszystkim — zaangażowania stoczniowców — projektantów i budowniczych.

— *Jako kolebka ruchu stocznia stała się dla Polaków wzorem. Pamiętamy, że to na nas zwrócone były i są oczy Polaków. Zdajemy sobie sprawę, że od naszej postawy wiele zależy* — mówi *Tomasz Moszczak*.

To samo poczucie odpowiedzialności za kraj, którego dowód dali stoczniowcy gdańscy w Sierpniu dyktowało im obowiązek zabrania głosu we wszystkich ważnych sprawach publicznych, pojawiających się w ostatnim półroczu. Już na początku października z ich inicjatywy 26 dużych zakładów Wybrzeża Gdańskiego wystąpiło z propozycją wspólnego spotkania władz i związków zawodowych, na którym rząd przedstawiłby program działań prowadzących do przezwyciężenia kryzysu. Do realizacji tego spotkania, które miało być transmitowane na cały kraj, jednak nie doszło, a program rządu poznali stoczniowcy — jak i wszyscy — dopiero w 4 miesiące później, z exposé nowego premiera...

30 października gdańscy stoczniowcy sformułowali oświadczenie wskazujące na te warunki, które rząd musi spełnić, by nastąpiła normalizacja życia w kraju. Warunki te dotąd — poza rejestracją „Solidarności" — nie zostały spełnione.

Zdjęcie pochodzi z albumu „Solidarność" — sierpień 80".

Foto: Zbigniew Trybek

Foto: Ryszard Wojciechowski
Zdjęcie pochodzi z albumu „Solidarność" — sierpień 80".

4

Ale nie tylko na te odpowiedzi czekają stoczniowcy.

CZEKAJĄ NA SPOKÓJ, lecz ten — mimo apelu i rzeczywistej potrzeby, nie może przyjść. Niektórzy twierdzą, że „walki podjazdowe" dopiero się zaczęły. I są to inicjatywy wychodzące z obu stron otaczających „Solidarność", a także — niestety — od wewnątrz. Jedni chcieliby widzieć w niej tylko związek zawodowy, drudzy pchają ją w polityczność. Podział na sojuszników i przeciwników nie przebiega jednak zawsze według przynależności.

I tu, w Gdańsku, uwagę „Solidarności" angażuje się gdzie indziej po to, by opóźnić proces organizowania podstaw pracy związkowej. Zamiast wyborów, usilnego wychodzenia ze stanu tymczasowości, trwają często jałowe dyskusje, w których chodzi jedynie o przewlekanie, o czas.

W końcu lutego odbyły się konferencje wyborcze w Stoczni im. Lenina i Gdańskiej Stoczni Remontowej. Wybrano zakładowe władze „Solidarności", delegatów na zbliżającą się konferencję regionalną tego związku. Ale tytuły ze stoczniowej gazety: *„Okres narodzin zamknięty"*, *„Nadszedł czas stabilizacji"* wyrażają na razie bardziej życzenia większości, niż stan rzeczywisty. W sercu ruchu coraz wyraźniej zarysowują się szczeliny, na przykład w sprawie stosunku do Komitetu Obrony Robotników *Lech Wałęsa* i *Anna Walentynowicz* — co nie jest już tajemnicą — znajdują się na dwu różnych brzegach. *Anna Walentynowicz*, z którą 6 marca rozmawiałem w gdańskim MKZ, nie ukrywa tego.

Nowy, wyrosły żywiołowo związek, zaczyna też odczuwać rosnącą potrzebę samokontroli. *Lech Wałęsa* zapowiedział na konferencji w Stoczni Gdańskiej tworzenie komórek rewizyjnych, których zadaniem będzie sprawdzanie kadr związkowych. Ale nie tylko na wewnętrzne przeciwności narażona jest „Solidarność".

W siedzibie MKZ we Wrzeszczu, między klamkę a drzwi na których duże, żółte litery oznajmiają *LECH WAŁĘSA*, ktoś wetknął list i wiązankę kwiatów... *Wałęsy* znów nie ma w Gdańsku, tym razem pojechał do Starego i Nowego Sącza, łagodzić nowy konflikt. 4 marca zdążył jeszcze podpisać uchwałę prezydium MKZ w sprawie zatargu w komitecie założycielskim „Solidarności" przy Zarządzie Portu Gdynia.

Wałęsa tu, *Wałęsa* tam... Czy te podróże nie zaszkodzą gdańskiej „Solidarności"? Czy są konieczne? Niektórzy nawet mają już je za złe Wałęsie...

— *My jesteśmy jak gdyby początkiem, sercem „Solidarności"* — odpowiedziała mi *Anna Walentynowicz*, którą spotkałem w przelocie między posiedzeniem prezydium MKZ, wyjazdem do Sopotu i — wieczorem — do Warszawy... — *I dlatego tak często wyjeżdżamy. Bo to jest bardzo potrzebne, bardzo liczy się to. KTO mówi o „Solidarności" Przez lata nauczono ludzi nieufności do słów i teraz nic dziwnego, że chcą znać prawdę, z samego źródła. Sądzą, że tylko TEN powie prawdę, że JEST tak, jak TEN powie... Na skutek ciągłych wyjazdów gdański MKZ został jakby organizacyjnie w tyle. Już nieraz mówiliśmy, że musimy zaniechać tych podróży. Ale nie możemy...*

Kilka osób, z którymi rozmawiałem w stoczni, powtarzało znamienne słowa z ostatnich wystąpień *Wałęsy* na konferencji „Solidarności" w Stoczni im. Lenina i I Zakładowym Zebraniu Delegatów w Stoczni Remontowej.

Wałęsa mówił tam — myśląc chyba również o tych wyjazdach — o konieczności zaktywizowania działalności związkowej na Wybrzeżu. Tym — ściśle związkowym — zadaniom gdańska „Solidarność" poświęca za mało miejsca. — *Sytuację tę* — powiedział *Wałęsa* (co relacjonuję za nr 10 *„Głosu Stoczniowca"*) — *trzeba natychmiast poprawić, bo Gdańsk jest odpowiedzialny za ruch związkowy wobec historii. Ogromna odpowiedzialność spoczywa zwłaszcza na stoczniowych organizacjach.*

— *Nie po to* — stwierdził również *Wałęsa* — *utworzono ruch „Solidarność", aby zepchnąć go teraz na boczny tor. Należy za wszelką cenę unikać sytuacji dwuznacznych i dbać o to, aby ten ruch nie został wciągnięty w rozgrywki polityczne, jak to miało miejsce w Bielsku-Białej. Jak każdy ruch społeczny, również „Solidarność" nie ustrzega się błędów. Obecnie należy dążyć do tego, aby w związku zapanowała jedność, aby oczyścić go z ludzi, którzy inaczej wyobrażają sobie działalność związkową.*

Na spotkaniu w gdańskiej „remontówce" 28 lutego *Wałęsa* powiedział jeszcze: — *Nasz związek musi być „czysty". To musi być prawdziwa organizacja związkowa. Musimy skoncentrować się na istotnych problemach, a nie rozdrabniać się. Najważniejszą sprawą jest utworzenie całkowitej struktury związkowej.*

To jedyna droga do stabilizacji wewnątrz związku, do której tęskni większość członków „Solidarności".

— *Myślę, że w stoczni* — po wyborach — *sytuacja będzie się stabilizować* — powiedziała mi *Anna Walentynowicz*. — *W Komisji Zakładowej zostaną zatrudnieni ludzie na etatach, opłacanych z kasy związku. To fakt, że ci ludzie dopiero teraz się uczą... Ale u nas nikt nie ma jednej recepty na „Solidarność".*

5

Pozostało jeszcze jedno pytanie, na które szukałem odpowiedzi. Co się po Sierpniu zmieniło w ludziach?

Tomasz Moszczak: — *Na początku była tendencja: mamy siłę, więc wyciśniemy wszystko... Ale teraz dołączył się rozsądek, ludzie nauczyli się, że wszystko można załatwiać w rozmowach.*

— *Ale jeśli będą przekonani, że się ich znów lekceważy, będą musieli nacisnąć* — dodaje *Jan Koziatek.*

— *Ja bym ludziom życzył, a i sobie jako członkowi „Solidarności", żeby pozostała świadomość działania* — mówi *Jan Piosik.*

Anna Walentynowicz:

— *Co się zmieniło? Przede wszystkim odzyskało się godność człowieka. Ludzi opuścił strach. Przestali się bać. To najważniejsze znaczenie Sierpnia.*

Bo przecież do tej pory było tak, że mistrz, kierownik — to byli absolutni władcy. Właśnie Gierek wprowadzał rygor przez jednoosobowe kierownictwo. To dało, że przełożony był panem życia i śmierci. Dzisiaj tego nie ma.

Mimo wszystko, mimo „podjazdów", ludziom wróciła wiara. I nie da się ich skłócić. Ludzie wierzą w „Solidarność". Ten ruch świadczy, że było to coś, na co ludzie czekali, że samo społeczeństwo czuło potrzebę takiego związku.

I to jest gwarancją, że nikt nie zlikwiduje „Solidarności". Gwarancją przetrwania.

TOMASZ SOLDENHOFF

16 marca 1981 r.

Dalszy ciąg ze str. 1

BEZ PODWYŻEK NIC Z TEGO...

Istotą okresu 1976—1979 było to, iż po naprawie błędów polityki Gomułki lat 1965—1970, dokonywanej po grudniu 1970, rząd po roku 1973 odwrócił się od chłopa. Rolników zaczęło się skutecznie zniechęcać do przejmowania ziemi i zwiększania obszaru gospodarstw. Rolnictwo utraciło samorząd i dostało się pod komendę naczelnika gminy i innych urzędników. Zbiegło się to ze stosunkowo szybkim odpływem siły roboczej z rolnictwa. Powstała jednak sytuacja, w której odpływ ten (który może być w pewnych sytuacjach błogosławieństwem — tak było w latach 1945—49) nie tylko nie sprzyjał powiększaniu obszaru gospodarstw chłopskich, ale pobudzał proces przejmowania ziemi przez państwo. Ziemia przechodziła od chłopów do państwa.

Obszar użytków rolnych w gospodarstwach indywidualnych zmniejszył się w latach 1973—1980 o 8 proc. Zwiększał powierzchnię sektor państwowy, który w przeliczeniu na hektar ziemi uzyskuje mniej produkcji końcowej netto o 25 proc., jest 2,5 raza bardziej kapitałochłonny i 2,5 raza bardziej materiałochłonny. Równocześnie po roku 1975, w przeciwieństwie do poprzedniego okresu, nastąpiła stagnacja dostaw środków produkcji dla całego rolnictwa; zabrakło maszyn, jakie człowieka mogłyby zastąpić. Wszystko to w sumie dało 4-lecie stagnacji.

Mimo stagnacji produkcji można jednak stwierdzić, że rolnictwo indywidualne jest ciągle jeszcze zdrowym organizmem gospodarczym w tym sensie, że mechanizmy ekonomiczne jeszcze w nim działają. Poza tym w latach 70 powstała liczna grupa gospodarstw zdrowych ekonomicznie, uzbrojonych w pewną ilość maszyn, mających dość wysoki poziom techniczny.

Co stało się w roku 1980? Po pierwsze — przyszedł katastrofalny nieurodzaj, który dotknął wszystkie działy rolnictwa (nieurodzaj 35-lecia). Po drugie — **nieurodzaj zbiegł się z ogólną dezintegracją całości gospodarki.** Tu trzeba powiedzieć, że rolnictwo jest bardzo czułe na funkcjonowanie tego wszystkiego co się dzieje poza nim. Jeżeli w przemyśle dostawy środków produkcji opóźnią się, powiedzmy, o dwa tygodnie, czy o miesiąc, to efekt zostanie przesunięty o ten sam czasokres. Jeżeli dostawy nawozów dla rolnictwa opóźnią się o miesiąc czy o dwa tygodnie, to oczywiście cały rok może być stracony. Jeżeli nieodpowiednia jest jakość pasz dostarczonych dla rolnictwa, spadają natychmiast efekty. Tu wymogi technologii, terminów i jakości są bardzo ostre i rygorystyczne. Dezintegracja całości gospodarki bardzo boleśnie więc uderzyła w rolnictwo i zbiegła się z nieurodzajem.

Trzeci czynnik, to nawis inflacyjny. **Siłą naszego rolnictwa chłopskiego były dotychczas silne jego związki — poprzez stosunki rynkowe — z całością gospodarki.** Kiedyś prof Lange z pewną dumą mówił o tym, że choć nasze rolnictwo nie jest skolektywizowane, to jeśli chodzi o udział sektora uspołecznionego w skupie produktów rolnych, jest znacznie wyższy, niż w niektórych innych krajach socjalistycznych. Rolnicy indywidualni dziewięćdziesiąt kilka procent swojej produkcji sprzedawali dotychczas bezpośrednio przedsiębiorstwom sektora uspołecznionego bez żadnego przymusu (dostawy obowiązkowe na szczęście zlikwidowano); mimo możliwości sprzedaży na wolnym rynku, chłopi z tego prawa korzystali w bardzo niewielkim stopniu. Charakterystyczna jest także wielka wrażliwość gospodarstwa chłopskiego na zmiany cen, na działanie instrumentów ekonomicznych. Te cechy ulegają coraz większemu zagrożeniu. Zaczyna słabnąć znaczenie cen i pieniądza jako instrumentów sterowania gospodarką indywidualną.

Kamieniem węgielnym reformy w sektorze pozarolniczym jest stworzenie takich warunków w których pieniądz i cena, a nie nakaz administracyjny, stałyby się podstawowym instrumentem transmisji zadań ogólnonarodowego planu do przemysłu. W rolnictwie sytuacja niestety zaczyna rozwijać się w przeciwnym kierunku, jesteśmy w defensywie, musimy wręcz bronić instrumentów ceny i pieniądza, których siła oddziaływania słabnie na skutek nadmiernej emisji pieniądza i braku w efekcie, pokrycia towarowego dla wypłacanych banknotów. **Stoimy w obliczu niebezpieczeństwa izolacji rolnika od reszty gospodarki, co może wyrazić się w przechodzeniu do wymiany „towar za towar".** Już mamy sygnały, że ziemniaki kupowano za węgiel, były wypadki, że z maszynami do szycia jechało się po to, żeby kupować kartofle. To są bardzo niebezpieczne symptomy, to jest — moim zdaniem — główne niebezpieczeństwo, które się zarysowuje. Jeszcze pół roku temu rolnicy byli bardzo rozsądni, jeżeli chodzi o żądania ekonomiczne. Mówili: „dajcie nam towary, my wcale nie żądamy dodatkowych pieniędzy". W tej chwili jest już inna sytuacja, powstaje zjawisko bardzo podobne do tego, jakie obserwujemy w sektorze pozarolniczym. Fala pieniędzy bez pokrycia płynie na wieś i podrywa więź ekonomiczną między wsią a miastem. Żądania podnoszenia cen skupu wypływają nie tylko od rolników indywidualnych, ale przede wszystkim od PGR i spółdzielni produkcyjnych. W PGR i spółdzielniach mówi się, twierdzicie, że mamy dopłacać? Te dotacje wynikają z tego, że ceny skupu są za niskie. Podnieście ceny skupu, to PGR przestaną być deficytowe. Tyle, że wytwarza się w ten sposób błędne koło. Gdyby podnieść ceny skupu do tak wysokiego poziomu, iż dzięki temu znikłaby deficytowość w państwowych gospodarstwach rolnych i spółdzielniach produkcyjnych, powiększyłaby się inflacja. Rolnicy indywidualni będą krążyć ze swoimi pieniędzmi po pustych sklepach w poszukiwaniu towarów i wtedy, oczywiście, spadnie zainteresowanie rolnictwa dla sprzedaży produktów rolnych przedsiębiorstwom uspołecznionym. Wtedy znajdą się tacy, którzy w obronie zaopatrzenia miast zażądają wprowadzenia obowiązku sprzedaży produktów rolnych...

Zacząłem od stwierdzenia, iż rolnictwo chłopskie jest ciągle jeszcze organizmem zdrowym, ciągle jeszcze funkcjonuje w nim prawdziwy rynek i że zarysowane procesy inflacyjne są przed nami i dopiero zaczynają się. Można więc stwierdzić, iż chodzi w tej chwili nie tyle o chorobę, ile o niebezpieczeństwo choroby. Należy jednak pamiętać o tym, iż na naszych oczach niebezpieczeństwo to narasta szybko, w sposób lawinowy i, niestety, automatyczny. Nawis inflacyjny szacowany jest na początek roku 1981 na 250 mld zł. Jeśli więc nawet założymy, iż w roku 1981 nie będzie z jednej strony dalszych podwyżek cen, płac i dochodów rolniczych a z drugiej — dalszego spadku produkcji rynkowej (założenie dość optymistyczne), to na podstawie przyznanych w ostatnich miesiącach 1980 roku podwyżek płac, emerytur i cen skupu można wnosić, że luka musi wzrosnąć w roku 1981 o dalsze 250 mld zł. Jeśli zaś założony stan utrzyma się również w latach 1982 i 1983, bądź jeśli niewielkiemu wzrostowi masy rynkowej będzie towarzyszyć proporcjonalny, niewielki wzrost płac i dochodów rolniczych przy utrzymaniu obecnych cen detalicznych (dobra konsumpcyjne i środki produkcji dla wsi), to luka inflacyjna może osiągnąć w końcu 1983 roku wartość około biliona złotych. To spowodowałoby całkowitą destrukcję naszego systemu pieniężnego.

Destrukcja systemu pieniężnego musi zablokować możliwość reformy systemu zarządzania i planowania w całości gospodarką i musi zdezorganizować to, co jest jeszcze zdrowe w systemie ekonomicznym funkcjonującym w gospodarstwach chłopskich.

Jeśli mówimy o reformie systemu ekonomicznego w gospodarstwach chłopskich, to mamy na myśli bardzo proste rzeczy, znacznie prostsze, niż w przemyśle. **Chodzi po prostu o to, aby odebrać urzędnikom ekonomiczną władzę nad rolnikiem indywidualnym.** Ażeby to przeprowadzić, należy przywrócić równowagę rynkową w zakresie tego wszystkiego, co rolnik kupuje dla produkcji i dla spożycia. Słowa: „przydzielam, staram się o coś" — muszą powoli znikać z naszego języka. Zastąpić je należy przez zdanie: — płacę i kupuję to wszystko, na co mam pieniądze uzyskane ze sprzedaży wytworów swojej pracy. W tych kilku słowach mieści się najprostsza zasada reformy systemu, która musi być wsparta rozwojem autentycznego samorządu chłopskiego.

Powstaje pytanie, jak ten cel osiągnąć. Najprościej by było, oczywiście, tak zwiększyć płynący na wieś strumień wszelkiego rodzaju dóbr, aby w ten sposób pieniądze zarobione przez rolnika, których zresztą nie ma on za dużo w stosunku do swoich potrzeb, znalazły pokrycie w towarze.

Niestety, ta droga najprostsza i najmniej bolesna, jest w zakresie przedmiotów konsumpcji (ograniczenia importowe) i środków produkcji zamknięta. Po to, żeby środki produkcji popłynęły na wieś większym strumieniem, potrzeba kilku lat na realizację całego szeregu inwestycji w przemyśle maszynowym i w przemyśle chemicznym. Nie znaczy to, oczywiście, że wielu rzeczy nie można zrobić natychmiast. Można zwiększyć dostawy materiałów budowlanych, wykorzystując konieczność wstrzymania wielu inwestycji przemysłowych. Można szybko zwiększyć produkcję szeregu tzw. czarnych prostych narzędzi. Trzeba koniecznie zapewnić regularną sprzedaż w sklepach wiejskich takich podstawowych artykułów żywnościowych, jak: cukier, margaryna, smalec, nie mówiąc już o chlebie.

Ale wszystko to są środki niewystarczające.

Konieczne jest stworzenie wspólnego, robotniczo-chłopskiego programu przywrócenia złotówce stabilnej wartości. Elementem podstawowym takiego programu musi być ograniczenie wzrostu cen skupu produktów rolnych i płac nominalnych, zdjęcie z rynku tej części pieniądza, jaka nie ma pokrycia. Oczywiście, najlepiej byłoby, gdyby to można zrobić kosztem tych, co mają za dużo pieniędzy. Tych ludzi w Polsce jest jednak zbyt mało, aby ich kosztem można było zagrodzić drogę dla inflacji, choć oczywiście, z punktu widzenia sprawiedliwości społecznej, do tych ludzi należy się dobrać jeśli ich znaczne pieniądze nie pochodzą z pracy. **Konieczne więc są przedsięwzięcia „drenażowe" podnoszące ceny niektórych przedmiotów konsumpcji wyższego rzędu. Te podwyżki cen nakierowane na wycofanie „złego" pieniądza powinny być rekompensowane tylko najsłabszym ekonomicznie grupom ludności.**

Czy realizacja tych propozycji oznacza żądanie zaciągania pasa? Nie! Można łatwo wykazać, iż wycofanie z obiegu części pieniądza, jaka nie posiada pokrycia wcale nie musi oznaczać zmniejszenia ilości towarów, jakie są sprzedawane ludności. Na odwrót — można postawić tezę: im zdrowszy pieniądz, im droższy pieniądz, tym zdrowsza gospodarka, tym większa efektywność, tym mniej marnotrawstwa, tym więcej towarów, tym lepsze życie, bo ludziom są potrzebne nie papierki a towary.

Wreszcie ostatnia sprawa. Czy jeśli uda nam się uzdrowić system pieniężny, stworzyć równowagę na rynku środków produkcji i uczynić z naszego rolnika wolnego producenta, sterowanego niewidzialną ręką cen i innych mechanizmów ekonomicznych należy spodziewać się eksplozji produkcji rolnej?

Na to pytanie odpowiadam przecząco. Wbrew rozmaitym mitom, jesteśmy krajem posiadającym jedne z najuboższych gleb w Europie. Rolnictwo nasze cierpi na brak wody, jest bardzo narażone na kaprysy przyrody, które tylko w niewielkim stopniu mogą być łagodzone przez technikę. Nasza produkcja zwierzęca opiera się na bardzo wysokim imporcie zbóż i pasz.

W tej sytuacji średnioroczny 2-procentowy wzrost produkcji rolnej jest bardzo trudny do uzyskania i na ten tylko wzrost możemy liczyć. Ten wzrost będzie musiał pracować na 1-procentowy wzrost liczby ludności i na zmniejszenie wartości importu zbóż i pasz przynajmniej o 50 proc. W tej sytuacji nie należy liczyć na to, iż po wyrównaniu spadku produkcji mięsa i mleka wywołanej nieurodzajem 1980 roku (jeśli chodzi o mleko, trzeba czekać pół roku, na mięso dwa lata), uda nam się uzyskiwać konsumpcję mięsa i mleka wyższą w przeliczeniu na głowę ludności od tej, jaką osiągnęliśmy w 1979 roku.

To oznacza, iż nie można rozwiązać problemu regularnego zaopatrzenia ludności w żywność bez wydatnego znacznego wzrostu cen żywności, co może być w pełni zrekompensowane tylko grupom ekonomicznie najsłabszym. To będzie w przyszłości zabieg konieczny, bez niego nie uda się uregulować w sposób właściwy cen skupu produktów rolnych (cena płacona rolnikowi nie może a'la long być 2—3 razy wyższa od tej, jaką płaci konsument).

To będzie, oczywiście, bardzo trudna operacja. Rekompensatą za jej przeprowadzenie musi być dla ludności miejskiej i wiejskiej likwidacja kolejek, sprzedaży po znajomości i łapownictwa — czyli równowaga rynkowa. To jest rekompensata konieczna. Można ją będzie zrealizować dopiero wtedy, gdy produkcja mięsa i mleka wróci do poziomu z roku 1979. Dlatego na razie konieczne jest jak najszybsze wprowadzenie systemu bonów na sprzedaż mięsa. Czyli, innymi słowy — **po to, by stworzyć zdrowy rynek, trzeba się najpierw cofnąć w sposób uporządkowany.**

To, co powiedziałem wielu ludzi zaniepokoi, ale naszym zawodowym obowiązkiem jest mówienie zarówno władzy, jak i społeczeństwu całej gorzkiej prawdy o naszej gospodarce i jej perspektywach. Jest to potrzebne m.in. po to, aby wszyscy zrozumieli, iż niczego w gospodarce nie można zreformować bez stworzenia warunków partnerstwa i zaufania między społeczeństwem i rządem. **To zaufanie znacznie łatwiej wykuwać wtedy, gdy karmi się ludzi za pieniądze pożyczone za granicą; znacznie trudniej, kiedy warunkiem sprawiedliwego nakarmienia wszystkich jest podniesienie cen żywności.**

WIKTOR HERER

MÓWIĆ O NAS

Z MIKOŁAJEM GRABOWSKIM

rozmowa w przerwie

— „Pamiątki Soplicy", spektakl za który właśnie otrzymał pan, wraz z zespołem, „Srebrną Łódkę", oglądałem na premierze, a więc minęło już sporo czasu. Czas wszystko weryfikuje najlepiej, może więc zainteresuje pana to, co zostało z przedstawienia w mojej pamięci — po prostu pamięci widza. A więc — syntetycznie — obraz Polski sarmackiej, bardzo daleki od tego, jaki jest prezentowany w tzw. oglądzie potocznym, wynoszonym w gruncie rzeczy ze szkolnej nauki literatury, a który dla większości Polaków pozostaje na zawsze jako jedyny. Uderzyła mnie także, i ją również zapamietałem, może dlatego, że jestem, jak mi się wydaje, wyczulony na formę — „polifoniczność" spektaklu dziejącego się w niewielkiej przestrzeni, na bardzo wielu różnych planach ściśle, finezyjnie ze sobą współgrających. Czy jest pan zadowolony z tego, co pamięć, akurat we mnie, pozostawiła? Czy o to panu chodziło?

— W gruncie rzeczy tak, choć jestem nieco zaskoczony tym, co pan powiedział o formie. Choć może... Proszę pana, to żachnięcie wynika chyba z tego, że ja w gruncie rzeczy o formie nie myślę, a przynajmniej nie w ten sposób, że postanawiam sobie — aha, to zrobię nie „tak", a „tak". Staram się zawsze myślec nie „jak" to zrobię, ale „o czym". Myślenie „jak" coś zrobić na scenie jest wypędzeniem sensu z teatru. A tymczasem dla mnie teatr istnieje tylko poprzez sens tego, co się dzieje na scenie. Dla mnie etyka jest zawsze ważniejsza niż estetyka. Forma rodzi się sama, w sposób naturalny, jako dziecko sensu.

— Może wobec tego „forma" — tutaj w znaczeniu kształtu teatru dalekiego od swej skonwencjonalizowanej estetyki, według której z góry wiadomo co nastąpi i jak się kto zachowa — siedzi w panu głębiej? Trudno by było powiedzieć, że to, co pan uprawia od roku 1968 w krakowskim zespole MW-2, a czego echem był choćby „Kwartet" Schäffera na Małej Scenie Teatru im. Jaracza, nie jest robione w opozycji w stosunku do, no, powiedzmy, aby już strzelić z grubej rury — „Polowania na zięciów" Labiche'a...

— W tym sensie, na pewno tak. Bo teatr uprawiany z zapamiętaniem w estetyce z góry ustalonej, musi w końcu prowadzić do bełkotu do pożerania siebie samego. Zespół Muzyki Współczesnej, o którym pan wspomniał wyzwolił mnie, jak sądzę, że sztywnych starych form teatralnych otworzył mi oczy na inny, możliwy do spełnienia teatr. I chyba to nie przypadek, że stało się to właśnie poprzez muzykę, która chyba poszła dalej niż teatr w swoim rozwoju.

— Może więc jednak, powtórzę, „forma" siedzi w panu głębiej?

— Może. Ale tylko w tym znaczeniu, że spieram się z formami zastanymi, uznanymi, poszufladkowanymi i — poszukując w teatrze swojego sensu — trafiam na formy inne.

— A jednak zrobił pan w Teatrze „7.15" wspomniane „Polowanie na zięciów"... Według mnie była to porażka artystyczna.

— Wie pan, nie umiem oceniać swojej własnej roboty w kategoriach porażki czy sukcesu. To już efekt który odbierają inni. Ja staram się rozwiązywać przez teatr jakieś sprawy, problemy. I albo rozwiązuję, albo nie. W całości, lub częściowo. Robiąc Labiche'a chciałem rozliczyć się z pewnym rodzajem XIX-wiecznego teatru, całą jego głupotą. Przeprowadzić remanent jego chwytów i chwycików gierek formułek, frazesów, którymi przecież w dużej mierze posługują się i współczesne nam sceny. O, właśnie, chciałem tym przedstawieniem pokazać, że taki teatr, który troszczy się nie o „co" ale o „jak", nie ma sensu, jest wierutną bzdurą. Sądziłem, że ukazanie tej bzdury wprost, walnięcie nią widza między oczy, może stworzyć sytuację frapującą. Chciałem zrobić dobry spektakl o niedobrym spektaklu — pokazać tę bzdurę w postaci czystej, aby stała się nie do zniesienia.

— I w istocie, spektakl był nie do zniesienia...

— Teraz pastwi się pan nade mną. Ale chyba ma pan rację. Przedstawienie to miało bardzo niedobre recenzje. I może słusznie.

— Ale przecież nie o to panu chodziło...? Czy nie zabrnął pan w sytuację, w jaką wpędza reżyserów Witkacy pisząc w didascaliach: „na scenie nuda, nuda coraz większa"? Jak pokazać taką nudę, żeby była nudą, a jednocześnie nie była teatralnie nudna..

— Tak... Przedstawienie to wymknęło mi się z rąk, nie umiałem go skończyć. Nie bardzo jeszcze wiem, na czym polegał mój błąd. Sytuacja paradoksalna: chciałem zrobić dobry spektakl o niedobrym teatrze, recenzenci mnie schlastali, a publiczność śmieje się, bawi... Nie o to mi chodziło.

— Może po prostu przegrał pan z banałem? Może banał jest silniejszy od wszystkiego?

— Chyba tak. Nie znalazłem sposobu na pogłębienie banału i wytworzyłem sytuację dwuznaczną. Spektakl ten powinien być dobry i niedobry — jednocześnie. A to jest zdaje się nie do zrobienia.

— Może się pan jednak pocieszyć, że „Pamiątki Soplicy" mają powodzenie o wiele większe, że funkcjonują w świadomości widzów. Doskonale też pamiętamy takie spektakle, jak choćby „Daczę" Iredyńskiego, wspomniany już Kwartet", czy sztukę Latki „Tato, tato, sprawa się rypła". Jeśli przypomniałem „Polowanie na zięciów", to nie po to, by sprawić panu przykrość. Jest dla mnie oczywiste, że teatru nie można robić z każdorazowym wyliczeniem sukcesu. Chodzi jednak o to, aby i publiczność zdawała sobie z tego sprawę, żeby wielbiła teatr, kiedy na to zasługuje, umiała wygwizdać, gdy ją zawodzi, lub gdy się z nim nie zgadza. Również jednak i o to, by teatr miał odwagę zdjąć z afisza spektakl, który — jego zdaniem — nie spełnia jego ambicji, oczekiwań.

— To już mi pan dołożyć boleśnie. Ale w gruncie rzeczy ma pan rację. Jestem bowiem przeciw teatrowi jako instytucji zajmującej się pełnieniem usług dla ludności, ze wszystkimi negatywnymi tego skutkami. Jeśli teatr jest usługowy, przestaje być artystyczny. Nie mam na myśli chęci wyobcowania teatru, zajmowania się teatru samym sobą. Przeciwnie, to dopiero byłaby klęska, takie zjadanie własnego ogona.

Teatr, sztuka w ogóle, powinien być zwierciadłem rzeczywistości, powinien mieć z nią najściślejsze związki, atakować to, co publiczność obchodzi najmocniej, najgłębiej.

— Powinien być zwierciadłem...? Czy nie powtarza tu pan stereotypu? Czy teatr, sztuka, nie są rzeczywistością, jej integralnymi składnikami? Czy traktowanie sztuki jako „zwierciadła" — a takie traktowanie sztuki nie jest obce myślom uznanych teoretyków — nie dystansuje sztuki wobec rzeczywistości, nie odbiera sztuce jej siły? Siły interwencyjnej i sprawczej?

— Rzeczywiście, odruchowo posługujemy się stereotypami. To, co pan mówi, jest bliskie temu, co myślę.

Po to jednak, by teatr mógł być taki właśnie — by mocno siedział w rzeczywistości — musi się całkowicie zmienić. Od podstaw. Także organizacyjnych. Teraz teatry to są machiny produkcyjne, mające w gruncie rzeczy za swe podstawowe zadanie wykonanie produkcyjnych planów, produkcyjnych wskaźników, z ludźmi zebranymi przypadkowo, z załogami produkcyjnymi, a nie z zespołami artystycznymi. Takie teatry nie mają szans na skupienie ludzi podobnie myślących i jeśli coś się w takich teatrach udaje zrobić, okupione jest to niesłychanym, niewyobrażalnym dla ludzi spoza „branży" wysiłkiem.

Foto: R. Łucyszyn

MIKOŁAJ GRABOWSKI: „Nikt teatru nie uratuje jeśli teatr nie uratuje się sam".

— Jaki więc powinien być teatr według pana?

— Przede wszystkim powinien być to zespół ludzi wzajemnie się rozumiejących i decydujących się na wspólne działanie twórcze. Jeśli się tego nie zrozumie, że teatr to zespół, w którym wszyscy grają, niejeden gra, a drugi, w drugim planie, „podgrywa" w którym wszyscy dążą do jednego celu niezależnie od wagi ról, to nie ma co myśleć o naprawie sytuacji w teatrze polskim. Dopóki się zespoły nie dorobią własnej argumentacji artystycznej dla swojego działania, nie będą właściwie zespołami. Trzeba ludzi w zespołach oswajać ze sobą przyzwyczajać ich do tego, że rzeczywistość teatralną będą tworzyli oni właśnie, a nikt za nich.

Tymczasem w teatrze polskim działa się według wymyślonych za biurkami schematów organizacyjnych. Wkłada się ten teatr do biurek i szuflad No, powiedzmy, nie można robić trzech teatrów w jednym, a tak jest na przykład u nas, w Teatrze im. Jaracza, gdzie jest Duża Scena, Mała Scena a na dodatek „Teatr 7.15". To co się robi na każdej z tych scen, nie ma najmniejszego związku z tym, co się dzieje na innej. Po prostu mentalnie nie przystaje jedno do drugiego. I jak tu tworzyć zespół? I kto mi powie, że taki układ jest wymyślony przez teatr, a nie przez urząd? Teatr powinien zacząć sam decydować o sobie. Nikt teatru nie uratuje, jeśli on nie uratuje się sam. Jeśli sam nie będzie swobodnie myślał jeśli sam nie będzie się programował.

— Poza tym, że jest pan reżyserem, jest pan jednocześnie aktorem. Dlatego może głębiej niż inni, poprzez to, że jest pan jakby bardziej „wewnątrz" teatru, rozumie pan istotę zespołowego myślenia i zespołowej pracy. Jak pan w ogóle rozumie aktorstwo? Sam pan przecież staje niekiedy na scenie, więc ma pan większe szanse lepiej rozumieć tych, od których wymaga pan czegoś jako reżyser...

— Aktorstwo w ogóle? Tego się chyba nie da powiedzieć w kilku zdaniach. W gruncie rzeczy całym moim zadaniem jest zmuszenie aktorów do absolutnej szczerości. Można powiedzieć, że wypędzam z nich „aktorstwo", chcąc zobaczyć po prostu ludzi, zachowujących się szczerze, prawdziwie, w określonej sytuacji. Aktorstwo teatralne jest dla mnie, i to staram się wpoić w ludzi, z którymi pracuję — nieustanną improwizację. Postaci stwarzają się wtedy, gdy aktor staje na scenie: poza sceną nie ma ich. To nie jest film, telewizja — teatru nie da się powtórzyć następnego dnia w ten sam sposób. Myśl, reakcja, to są ułamki sekund — nie można ich w teatrze zatrzymać gdyż wtedy aktor staje się martwą figurą, maską, miną. W tym też mieści się chyba istota magii teatru.

W chwili, kiedy między aktorem, a widzem staje mikrofon, kamera, teatr przestaje być teatrem.

— Powiedział pan, że teatr dla pana istnieje tylko poprzez sens tego, co się dzieje na scenie. Co chciałby pan mówić swoim teatrem?

— Interesują mnie przede wszystkim nasze, polskie sprawy. Przygotowuję teraz „Transatlantyk" według Gombrowicza. Jest to od „Pamiątek Soplicy" skok przez stulecie, przez romantyzm. Chcę sprawdzić co się w nas zmieniło od czasów Polski sarmackiej, co się z nami stało do dziś i dlaczego. Tego rodzaju problemy są dla mnie najważniejsze — penetracja nas samych, abyśmy lepiej się poznali. I w tym jest chyba szansa dla teatru — pełnienia przezeń najistotniejszej jego roli.

Przyznam się, że nie bardzo mnie interesuje sprawdzanie się poprzez to, co się dzieje w „kulturze europejskiej" — to nasze podczepianie się do jej mód, spraw, form jest w gruncie rzeczy wyrazem głębokiego kompleksu prowincji. Przecież my w tej kulturze po prostu istniejemy — bądźmy w niej sobą, a nie kalką czegoś, czy kogoś.

Bardzo wiele się u nas działo i dzieje, mamy wiele własnych spraw do poruszenia przemyślenia, zatrzymania się nad nimi. Za mało się tymi sprawami zajmujemy w sposób autentyczny, prawdziwy; jeśli już ich dotkniemy, to zaraz uciekamy albo w armaty i godła, albo w niedocenianie samych siebie.

No i z tego chyba wynika, co i o czym chciałbym mówić teatrem. O nas.

Rozmawiał:
JERZY KATARASIŃSKI

MOŻE SIĘ NIE ZAWALI

Czego to jest koncepcja: żeby się ruszało, było kolorowo i śmiesznie? Nie, nie. Nic z polityki. To najczęściej spotykana koncepcja teatru lalkowego dla dzieci. Na szczęście — nie jedyna. Na szczęście dla dzieci (i nie tylko), a nie zawsze na szczęście dla tych, którzy pragną robić ambitny teatr lalkowy.

W 1976 roku dyrekcję teatru lalek „Pinokio" objął Jerzy Michalak, scenograf, ostatni asystent profesora Andrzeja Stopki w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Przybył człowiek pełen inicjatywy i choć młody, sprawdzony już wielokrotnie w udanych realizacjach teatralnych i telewizyjnych.

Stanął na czele placówki, która — jak to się mówiło — została po byłym województwie. Zaniedbanej do granic możliwości pod względem lokalowym i wcale nie gorzej — artystycznym. Przede wszystkim potrzebny był remont kapitalny. Wszystkiego — od sali widowiskowej poczynając, a na pracowniach teatralnych kończąc. Kosztem 0,5 mln złotych sporządzona została dokumentacja i... No i na tym stanęło. W remoncie był wtedy drugi z teatrów dla dzieci — Arlekin. Nie można było remontować dwóch jednocześnie.

Nowy dyrektor wymyślił więc koncepcję nazwaną przez siebie „trójpolówką". Pierwszy etap — wstępna modernizacja wszystkiego co da się załatwić własnymi siłami. Drugi — remont pracowni i wreszcie trzeci — remont sali widowiskowej. Teatr miałby wtedy grać w wynajętym gdzieś w mieście pomieszczeniu tymczasowym.

To co miało być załatwione własnymi siłami, zostało zrobione względnie szybko. Reszta...

Od 1976 roku „Pinokio" daje przeciętnie 4 premiery w sezonie. Dotychczas są to bez wyjątku prapremiery polskie. Często unikalne zamierzenia — jak na przykład prapremiera „Cyberiady" Stanisława Lema.

Ale to tylko jeden z nurtów pracy teatru. Otóż istnieje w „Pinokiu", jako jedyna w Polsce, scena lalkowa dla dorosłych, grająca regularnie. Owszem, były i w innych teatrach próby tego typu, ale kończyły się jednym czy dwoma spektaklami.

Scena dla dorosłych powstała w sali prób. Trzeba było założyć cały park oświetleniowy, przystosować ją dla publiczności, zrobić oddzielne wejście. Znowu własnymi siłami.

I jeszcze rzecz najważniejsza i trudniejsza od wszystkich dotychczasowych — praca nad spektaklem w zespole, który całymi latami miał do czynienia z „żabcią", „rybcią", „myszką".

W początkach sezonu 1976/77 przeciętna wieku zespołu była dosyć wysoka, sporo osób niedługo przed emeryturą, całe życie artystyczne przyzwyczajonych właśnie do tej „myszki" i „żabci". A jednak scena dla dorosłych ruszyła. Pierwsza premiera — „Dekameron" — spore zainteresowanie, przychylne recenzje. Później premiera „Czarnego kabaretu" — bardzo dobrze przyjęta przez publiczność. Grana do dzisiaj (a sporo czasu minęło do pierwszego przedstawienia) przy pełnej widowni. Nie tylko w Łodzi. Nie mniejszym powodzeniem cieszyły się spektakle „Czarnego kabaretu" prezentowane przez „Pinokio" w Warszawie.

Obydwa przedstawienia zostały zrealizowane bez żadnych dodatkowych dotacji. Więcej — scena dla dorosłych zarabiała i zarabia dotychczas na spektakle dziecięce.

Czy władze kulturalne miasta przejawiły, poza protekcjonalnym poklepywaniem po ramieniu, jakieś bardziej odczuwalne zainteresowanie tym, co dzieje się w teatrze?

Mnie przynajmniej nic o tym nie wiadomo, a nie wiadomo też i zespołowi „Pinokia". Jedyne, co zostało zrobione, to nowa dokumentacja za następne pół miliona złotych. Tymczasem sala widowiskowa grozi w każdej chwili zawaleniem. Jak długo jeszcze wytrzyma drewniany strop, który co roku podpierany jest jedynie... opiniami ekspertów wysyłanymi przez teatr do prezydenta Łodzi?

Oczywiście najłatwiej byłoby taki kłopotliwy obiekt po prostu zamknąć. Metoda niezawodna, sprawdzona wielokrotnie. Choć mam nadzieję, że tym razem... Ale czy to wiadomo?

I jeszcze sprawa aktorów w teatrach lalkowych. We wszystkich, albo prawie wszystkich. Sprawa szersza, nie będąca już w kompetencjach lokalnych władz, ale wymagająca wreszcie jakichś rozstrzygnięć generalnych.

Istnieją w kraju dwa wydziały lalkarskie — we Wrocławiu działa filia krakowskiej szkoły teatralnej w Białymstoku — warszawskiej. Tylko nieliczni absolwenci trafiają do teatrów lalkowych, reszta kupowana jest na pniu przez dyrektorów teatrów dramatycznych w małych ośrodkach — Jeleniej Górze, Legnicy czy Gorzowie. Przyczyny takiego stanu rzeczy są proste i od lat wiadome zainteresowanym.

Najwyższa, tzw. norma przedstawień w teatrze dramatycznym — 12, najniższa w teatrze lalkowym — 14. Każde ponadnormowe przedstawienie jest płatne. Najwyższa stawka w teatrze dramatycznym za przedstawienie ponadnormowe — 700 złotych, w teatrze lalkowym — 400 złotych. Młody aktor przychodząc do teatru lalkowego ma przeważnie 20 przedstawień w ramach normy i średnią stawkę około 250 złotych za przedstawienie ponadnormowe. Pensja jaką może otrzymać na początek, to najwyżej 2800 zł. Już na starcie znajduje się w dużo gorszej sytuacji finansowej od swojego kolegi z jakiegokolwiek teatru dramatycznego.

Do tego jeszcze sprawa mieszkań. Tutaj zawsze pierwszeństwo mają znowu aktorzy scen dramatycznych. Ich sztuka traktowana jest jakby przez większe „S". Bardziej poważnie.

Co prawda w Łodzi zbudowany został nowy hotel dla aktorów, ale jego działalność to temat na całkiem osobną publikację. W każdym razie sprawy nie rozwiązuje.

A „Pinokio"? Może się wreszcie zawali!

Nie, to nie ja tak myślę. Na pewno nie ja i nie zespół tego teatru.

JAROSŁAW WARZECHA

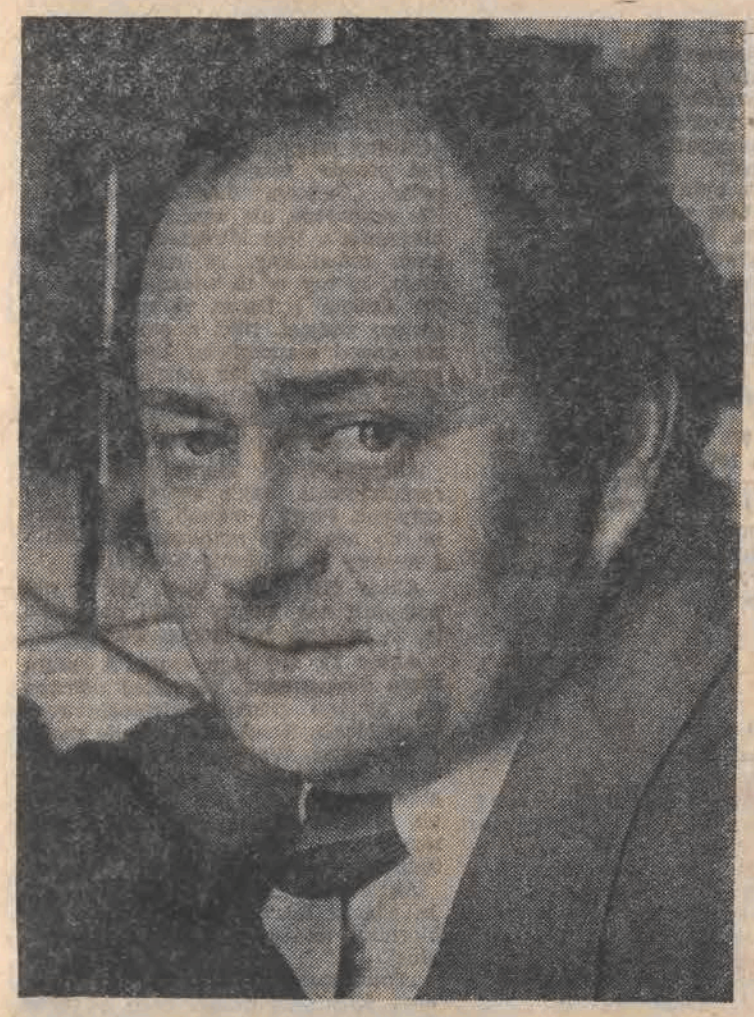

Foto: R. Łucyszyn

RYSZARD DEMBIŃSKI: Nie mam żadnych „własnych" sposobów budowania postaci.

WŁAŚNIE TAK, W TAKI SPOSÓB

rozmowa z RYSZARDEM DEMBIŃSKIM

RYSZARD DEMBIŃSKI — laureat „Srebrnego Pierścienia', jest aktorem cieszącym się powszechnym uznaniem i sympatią. Serdeczne uczucia publiczności i wysokie oceny krytyki zdobył wieloma rolami. Każda jednak próba szczegółowej analizy fenomenu jego aktorstwa jest o tyle trudna, że pierwszymi nasuwającymi się refleksjami, są dwa z pozoru tylko wzajemnie wykluczające się, stwierdzenia. Pierwsze dałoby się sformułować w ten sposób, iż jest to aktor, który żadną ze swych ról nie wprawia nas w zdumienie, czy zaskoczenie, jakąś szczególną, nie przewidzianą przez nas wcześniej, interpretacją, drugie zaś — że ciągle zadziwia nas interpretacją każdorazowo absolutnie celną. Mnogość opanowanych do perfekcji przez Ryszarda Dembińskiego środków aktorskiego wyrazu łączy się z podstawowym i najbardziej chyba oczywistym walorem jego aktorstwa, jakim jest niezwykła sugestywność wszelkiego podejmowanego przezeń przekazu scenicznego. To zaś zrodziło pełne słuszności przekonanie widzów, iż Ryszard Dembiński potrafi wszystko. Równie dobrze wydaje się bowiem czuć w komedii, jak i w dramacie, świetnie radzi sobie z groteską Witkacego i subtelnym humorem Mrożka. Nie są mu obce ani rubaszny humor, ani „najcieńsza" satyra, w wielu rolach Dembińskiego pobrzmiewają nuty głębokiego i ciepłego liryzmu. Wszystkie urzekają spontanicznością, z którą dopiero na oczach widzów zdają się rodzić i w zależności od ich reakcji, osiągać swój kształt najpełniejszy. Podjąwszy zatem próbę analizy aktorstwa Ryszarda Dembińskiego i zdawszy sobie sprawę ze wszystkich jego elementów i warunkujących to aktorstwo czynników uświadomiłam sobie, że zawodowa perfekcja tego artysty każdego ewentualnego badacza jego sztuki uczyni bezradnym. Jeśli jednak aktorstwem nie tylko nazywać będziemy zawód ongiś przez Ryszarda Dembińskiego wybrany, ale zawrzemy w tym pojęciu ocenę sposobu jego wykonywania, bądź też miarę jakości to w indywidualnym przypadku tegorocznego laureata „Srebrnego Pierścienia", wypadnie nam mówić o aktorstwie oczywistym. Tu przyznam, że po prostu nie umiem znaleźć dlań innego określenia, tak jak nigdy nie umiałam wyobrazić sobie by nie zagrał on „trafionej" roli. Nazwisko Ryszarda Dembińskiego jest gwarancją, iż spotkanie z kreowaną przez niego postacią będzie emocjonującym i pełnym przeżyciem teatralnym. Trudno zatem pozbyć się chęci zadania Laureatowi pytania o tajniki jego sztuki, o to, co czyni zawód aktora **tak trudnym do zgłębienia?**

— Proszę panią, bardzo proszę, nie mówmy o tym, będzie mi bowiem bardzo trudno powiedzieć na ten temat cokolwiek nowego. Większość moich kolegów wypowiadając się na rozmaitych łamach i z różnych okazji wyczerpała już właściwie to istotnie trudne zagadnienie. Uczynili to w sposób, który dałoby się określić słowami „nic dodać nic ująć", mnie samemu zas żadnych dodatkowych tajników nie udało się zgłębić. Nie jest to zatem próba zachowania dla siebie jakichś osobistych, indywidualnych tajemnic zawodowych, ani tym bardziej brak chęci ich udostępnienia tym, którzy byliby tych tajemnic ciekawi. Jakąż bowiem tajemnicą, czy raczej jej odsłonięciem byłoby stwierdzenie, że jestem taki, jaki jestem i gram tak jak potrafię? Tak jest naprawdę i nic innego nie umiałbym w tej kwestii dodać. Nie mam żadnych „własnych" sposobów budowania postaci. Te sposoby rodzą się każdorazowo w ścisłej współpracy z reżyserem i w zależności od tego co dana postać ma do przekazania widzowi. Poszukiwanie i odnajdywanie tych sposobów lub też — mówiąc jeszcze inaczej — wybór właściwych dla wykreowania tej postaci środków wyrazu wiąże się ściśle z moim widzeniem tej postaci, z moim przekonaniem o słuszności jej racji i wiarygodności motywów jej postępowaniach. Jeśli zatem jest coś czego w pracy nad rolą potrzebuję w stopniu szczególnym (choć być może tak samo, mniej lub więcej potrzebują tego inni aktorzy), to tym czymś jest owo przekonanie, że tę rolę trzeba grać właśnie takimi środkami, właśnie w taki sposób...

— Jak rodzi się takie niezbędne przekonanie?

— Czasem jest to wynik żmudnej i pełnej chłodnego racjonalizmu analizy tekstu, czasem pojawia się ono intuicyjnie, często rodzi je sugestia reżysera. Skądkolwiek by się ono jednak brało, jakiekolwiek byłoby jego pierwotne źródło, to jednak zawsze to przekonanie musi być bądź stać się moim. Musi przerodzić się w rację, w imię której decyduję się prowadzić daną rolę konsekwentnie, zgodnie z jedną zasadniczą jej linią. Oto moja „tajemnica" zawodu.

— Czy zechciałby pan opowiedzieć naszym czytelnikom o drodze jaka pana do tego zawodu przywiodła?

— Nie będzie to opowieść, ani specjalnie barwna, ani wyjątkowo pasjonująca, choć właśnie ta droga była nietypowa. Nie kończyłem bowiem studiów na wydziale aktorskim żadnej ze szkół teatralnych. Trafiłem do tego zawodu (który naprawdę lubię ponad wszystko, i który jest najważniejszą „sprawą" w moim życiu) z tak zwanego ruchu amatorskiego. Na początku lat pięćdziesiątych, pracując jako księgarz, działałem w amatorskim zespole teatralnym zorganizowanym przy łódzkim Domu Książki. Kierował tym zespołem nieżyjący już świetny aktor Jerzy Ćwiklíński. Graliśmy różne sztuki z właściwym dla naszej wtedy młodości zapałem i brakiem krytycyzmu, były to zresztą lata, gdy i dramaturgia królowała na scenach dosyć szczególna i ów zapał był powszechny. Pokazywaliśmy te nasze przedstawienia kolegom i publiczności gromadzącej się na licznych przeglądach, festiwalach i konkursach amatorskich zespołów teatralnych.

Na jednym z takich konkursów zaprezentowaliśmy — jak dziś pamiętam — tylko jeden akt sztuki, której tytułu przypomnieć już sobie nie mogę. Nie widzieliśmy w tym zresztą niczego dziwnego: całości nie zdążyliśmy przygotować, więc pokażemy ten jeden akt... Takie to były zapały! Ale graliśmy z pasją, której wielkość była odwrotnie proporcjonalna do naszych umiejętności. W jury tego konkursu zasiadali zawodowi aktorzy i oni właśnie namawiali mnie gorąco, bym rozpoczął studia na wydziale aktorskim, ale ja po prostu nie mogłem sobie na nie pozwolić, miałem już bowiem poważne obowiązki rodzinne i o zaprzestaniu zarobkowania nie mogło być nawet mowy. Podsunięta przez nich myśl o poświęceniu się w całości temu co dotychczas stanowiło zaledwie hobby, zaczęła mnie jednak drążyć. Poprosiwszy zatem owych życzyliwych mi ludzi o referencje, stawiłem się z nimi w Teatrze Dolnośląskim w Jeleniej Górze. Do dziś nie mogę wyjść ze zdumienia jak to się stało, że dyrektorująca tam wtedy Maria Straszewska przyjęła mnie do zespołu aktorskiego. Teraz myślę, że brakowało tam amanta, a ja byłem młodym, szczupłym wysokim brunetem... W teatrze jeleniogórskim zagrałem przeszło dwadzieścia ról. Jakiż musiałem być wtedy obcesowy i pewny siebie... Aż strach pomyśleć! Ale grałem, grałem, grałem i uczyłem się.

To był ciężki kurs praktycznej nauki tego piekielnie trudnego zawodu. Graliśmy tam dosłownie wszystko, był wielki dramat, a obok niego komedie muzyczne, subtelna psychologia i rubaszny dowcip. Repertuar wymagał wszechstronności warsztatowej, więc zdobywaliśmy ją „z marszu". Były to zresztą lata, w których niepodważalne wydawało się twierdzenie o dobrych chęciach czyniących oficera... Czy jednak oficerskie szlify w aktorstwie? O nie! Te mogłem przypiąć dopiero po pomyślnym zdaniu egzaminu eksternistycznego. Był on zresztą naprawdę trudny, tak trudny, że zdobyte w jego wyniku prawo wykonywania zawodu aktora dramatycznego wydaje mi się równoznaczne z dyplomem wyższej uczelni.

— Po kilku latach spędzonych w Jeleniej Górze przyjechał pan do Łodzi.

— W roku 1961 zostałem zaangażowany do Teatru „7.15", którym kierował Janusz Kłosiński. Pracowałem na tej scenie trzy lata i wiele się na niej nauczyłem. Od 1964 roku jestem członkiem zespołu aktorskiego Teatru Nowego. Tu, zaangażowany przez Wojciecha Pilarskiego, znalazłem najlepsze warunki pracy, która jest dla mnie najważniejsza, tu poczęła oddziaływać na mnie jedyna chyba w swoim rodzaju wewnętrzna atmosfera naszego teatru, teatru, w którym kwestie etyki zawodowej nie są pustymi frazesami, w którym w wielkim pocie czoła pracuje się uczciwie i bez jakiejkolwiek dla siebie taryfy ulgowej, teatru, w którym doznaję najwięcej satysfakcji z wykonywanego zawodu. Profil tego teatru określiła nasza i jego historia, a w chwili gdy przekraczałem jego progi miał on swoje kilkunastoletnie już obyczaje i wspaniałą tradycję uczciwej, ciężkiej pracy. Koledzy żyli jeszcze bardzo świeżą wtedy pamięcią pracy pod kierunkiem Kazimierza Dejmka, ja zaś tą ich pamięcią zafascynowany, z chęcią poddałem się wszystkim panującym tu zwyczajom i artystycznym rygorom. Po kilku zresztą latach obecność w tym właśnie teatrze pozwoliła mi pracować pod kierunkiem Kazimierza Dejmka i ten etap jest w moim życiorysie aktorskim najważniejszy. Nie umiem nawet powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że mogłem grać i gram w spektaklach reżyserowanych przez Dejmka, choć myślę, że mogę powiedzieć, jak ciężko było mnie, w którym zawsze przeżywałem swoje największe wzruszenia, i który nie miałem żadnych wcześniejszych z tym twórcą kontaktów, sprostać jego olbrzymim wymaganiom. Z początku (w czasie prób „Operetki" i pracy nad rolą Barona Firuleta) wydawało mi się, że nie będę w stanie sprostać tym wymaganiom, wydawały mi się one nawet zbyt surowe, ale zauważyłem, że Kazimierz Dejmek jest równie surowy dla siebie i od siebie wymaga najwięcej. Straszniśmy się wtedy wszyscy napracowali i... jak to dobrze, że tak już zostało. Temperatura pracy w naszym teatrze nie spadła, ani o pół stopnia, ale ta praca jest źródłem naszych największych satysfakcji.

— Które z ról zagranych w Teatrze Nowym mają dla pana największe znaczenie?

— Jeśli pani pozwoli, wymienię role z ostatniego tylko okresu, bo wszystkich razem było siedemdziesiąt siedem. Będą to więc Baron Firulet z „Operetki" Witolda Gombrowicza, Lekarz w „Patnie" wg. „Lorda Jima" (Conrada), Don Pietro w „Cieniu" Młynarskiego wg. Szwarca, Pan Układny w spektaklu „Tartuffe, czyli Obłudnik" Moliera, Tato w „Drugim daniu" Mrożka, Barbar w „Vatzlavie" tego samego autora ,Murina w „Uroczystym bankiecie w zakładzie pogrzebowym" Bresana i — oczywiście — role w „Ucieczkach staropolskich".

— Za pięć ról zagranych w tym spektaklu (Śmierć, Klekot, Wdowiec, Szlachcic, Piekarz) otrzymał pan „Srebrny Pierścień". Serdecznie gratulujemy!

— Bardzo dziękuję! Proszę pani, ja się z tego Pierścienia naprawdę bardzo cieszę. To moje zadowolenie pozbawione jest wszelkiej wobec fundatorów kurtuazji, niech więc przyjmą je po prostu tak szczerze, jak jest wypowiedziane. My, aktorzy, tej właśnie nagrodzie przyznajemy największe znaczenie i bardzo wysoko ją cenimy. W moim przekonaniu jest ona nagrodą jakoś szczególnie sprawiedliwą, co jednak, by nie zostać źle zrozumianym, muszę opatrzyć niezbędnym dla wyjaśnienia moich intencji komentarzem. Nie nazywam „Srebrnego Pierścienia" nagrodą sprawiedliwą dlatego, że ją dostałem, czy też że jestem przekonany, iż należała się właśnie mnie. Nie jestem przekonany, że to co robię — robię najlepiej. Ta nagroda — ponieważ otrzymywali ją przede mną koledzy naprawdę znakomici — pozwala mi uwierzyć, że jestem na dobrej drodze i jakoś dziwnie mocniej chce się iść dalej. Jest to uczciwa nagroda, która przede wszystkim mobilizuje, dodaje sił do dalszej uczciwej rzetelnej pracy z wiarą, że tyle jeszcze przede mną... I właśnie dlatego tak bardzo cieszę się ze „Srebrnego Pierścienia", że mam nadzieję, iż w moim przypadku on jeszcze niczego nie wieńczy, a raczej otwiera jakiś następny nieznany mi jeszcze etap...

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

„START 81"

W dniach 26—29 marca br. odbywa się, po raz pierwszy w Łodzi, Ogólnopolski Przegląd Teatrów Debiutujących „Start 81". Jest to jedenaste już spotkanie młodych grup teatralnych, głównie studenckich, stanowiące w założeniach przegląd i zarazem ocenę ich skromnego zazwyczaj jeszcze dorobku i propozycji artystycznych.

Tradycje „Startu", datujące się od roku 1970, są na ogół dobrze znane środowiskom studenckim, nie tylko teatralnym. Dla innych — nieco informacji o tej imprezie, jej formule i historii. Oto w wyniku dość burzliwych przemian w studenckim ruchu teatralnym, na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zrodziła się idea pomocy i szerokiego poparcia nie tyle dla teatrów już głośnych, od dawna działających, co przede wszystkim dla nowo powstających grup teatralnych. Tym teatrom należało stworzyć możliwość publicznego debiutu i prezentacji dorobku na forum szerszym niż wyłącznie własne, lokalne środowisko. Założono konieczność imprezy o randze krajowej — ogólnopolskiego przeglądu teatrów debiutujących. Tak doszło do powołania „Startu".

Inicjatorem i ojcem duchowym imprezy, w założeniach cyklicznej i otwartej nie tylko dla teatrów studenckich, był nieżyjący już, wybitny krytyk teatralny Jerzy Falkowski. Powołano Radę Programową Teatrów Studenckich, w której znaleźli się kierownicy artystyczni zespołów teatralnych z całej Polski. Rada zaproponowała organizowanie, poza „Startem", także innych imprez integrujących młode teatry, wzbogacających w nowe treści i formy studencki ruch teatralny. Formuła „Startu" zaś, imprezy o zasięgu ogólnopolskim, dawała pełne szanse artystycznych konfrontacji i weryfikacji zespołom nowo powstającym, istniejącym w zasadzie nie dłużej niż dwa lata, nie uczestniczącym wcześniej w innych ogólnopolskich przeglądach o charakterze konkursowym.

I Studenckie Spotkania Teatralne „Start 70" odbyły się w lutym 1970 r. w Częstochowie, zorganizowane przez tamtejszy teatr „Szkodagadać" i działaczy kulturalnych Politechniki Częstochowskiej. Uderzyła obecność wszystkich bez mała form scenicznych. Propozycjami logicznymi konstrukcyjnie, spójnymi konceptualnie, o dość wysokim poziomie artystycznej dojrzałości okazały się dwie wyróżnione przez jury inscenizacje autorstwa studentów **gdańskiej PWSSP, grupy „a"** mianowicie **„Alegoria zła"** i **„Prawie tragedyja grecka".** Równorzędnie nagrodzony został **„Teatr 77"** z Łodzi za przedstawienie **„Rosja żona moja" wg. Aleksandra Błoka.** Wśród wyróżnionych znalazły się także: **„Kandelabr" z Olsztyna, Balet Form Nowoczesnych z AGH w Krakowie i toruńska pantomima — „Grupa 3".**

II Studenckie Spotkania Teatralne „Start-71" odbyły się w Olsztynie. Uwydatniły one pokoleniową niejednolitość, oraz spore różnice poziomów w teatrze studenckim, w którym zespoły wiodące odbiły znacznie wielkością i wielością doświadczeń artystycznych od stawiających pierwsze kroki debiutantów. W warstwie treściowej poza nurtem psychodelicznym dało się zauważyć zwrot ku literaturze awangardowej.

Przed trzecim przeglądem powołano Radę Artystyczną Spotkań, która, w celu wyrównania poziomu artystycznego imprezy, miała odtąd dokonywać wstępnej selekcji i kwalifikacji zgłaszanych teatrów, eliminując najsłabsze. „Start-72" miał miejsce w Toruniu. Efekty widocznych coraz bardziej przemian w rzeczywistości społecznej i życiu kulturalnym kraju odcisnęły swoje piętno także i na rzeczywistości teatralnej ruchu studenckiego, na prezentowanych ówcześnie propozycjach inscenizacyjnych. Większość występujących zespołów zdała się ulec bez reszty i zgoła bezkrytycznie, osobliwej, a zdradliwej modzie na „upolitycznienie" sceny za wszelką cenę, przechwytując jednocześnie i dość bezmyślnie zapożyczając stosowne do tego środki inscenizacyjne i całą tandetną „sztukaterię" od starszych „renomowanych" zespołów, a także od „wojujących" teatrów profesjonalnych.

Kolejne spotkanie, w r. 1973, nie miało swojej historii, jako że z powodu dokonujących się naonczas zmian strukturalnych w całym ruchu studenckim po prostu nie odbyło się.

Zmiany w ruchu studenckim nie wpłynęły ożywczo, jak się wydaje, na teatr studencki. Zorganizowany po rocznej przerwie IV Festiwal Teatrów Debiutujących „Start 74" w Białymstoku przeszedł do historii jako przede wszystkim nijaki, bez ciekawszych propozycji, tak treściowych, jak i formalnych.

V Ogólnopolski Przegląd Studenckich Teatrów Debiutujących „Start 75" przeprowadzono w Opolu. Tym razem na odmianę poziom był wysoki i wyrównany, a niektóre z debiutujących wówczas zespołów działają z pewnym powodzeniem do dziś.

W 1976 r. zorganizowano VI Ogólnopolski Festiwal Studenckich Teatrów Debiutujących w Zielonej Górze. Wydarzenia tamtego czasu i nastroje ogólnospołeczne odbiły się i tym razem na obliczu imprezy. Wysokie nuty dętego patosu i „posłanniczej" egzaltacji splatały się w osobliwy, mocno zgrzytliwy dysonans z minorowymi tonami smutku, niemocy i melancholii.

„Start 77" zorganizowany w Bydgoszczy był osobliwą prezentacją nie tyle sztuki scenicznej, co szczególnego „dadaizmu" intelektualnego i bełkotu formalnego, ukrytych za maską Melpomeny, tudzież ideowo - artystycznego pustosłowia i głuchobrzęku. Każdy niemal akt arskomunikacyjny między kreatorami owych „teatraliów", a widownią przypomniał jako żywo akademicką dysputę głuchoniemego ze ślepcem. Inercja, intelektualna, bezład artykulacyjny, kakofonia inscenizacyjna — wszystko to sprawiło, iż „Start 77" otrzymał etykietę dzieła i prezentacji „pokolenia telewizyjnego", niezdolnego do dialogu ani porozumienia poprzez sztukę z innymi, niczym w najbardziej ponurej wizji Mc Luhana.

Na odmianę VIII Ogólnopolskie Spotkania Teatrów Debiutujących „Start 78" w Kielcach stały na bardzo wysokim poziomie. Uczestniczące w nich zespoły zadziwiły widownię dojrzałością twórczą i rozległością penetracji artystycznej zarówno w zakresie wyboru materiału literackiego, jak i doboru środków i sposobów inscenizacyjnych.

„Start 79" zorganizowano w Szczecinie. Prezentowane tam spektakle z kolei były w większości niezbyt udanymi adaptacjami twórczości uznanych w świecie teatralnym autorytetów. Gremialne poszukiwanie „przewodnika", kurczowe trzymanie się tzw. autorytetów, a więc głęboki infantylizm, marazm twórczy, indolencja artystyczna — to ogólny wygłos festiwalu szczecińskiego.

Ubiegłoroczny X Festiwal Studenckich Teatrów Debiutujących „Start 80" ponownie odbył się w Kielcach. Tym razem jednak była to istna zbieranina paraeksperymentalna form i treści — od eksperymentatorskich spektakli w salach zamkniętych po równie eksperymentatorskie happeningi.

Jak zapowiada się tegoroczny XI Ogólnopolski Przegląd Teatrów Debiutujących „Start 81", odbywający się tym razem w zupełnie nowej scenerii społeczno- politycznej, także i studenckiej? Przemiany dokonujące się w naszej rzeczywistości zawsze i bez wyjątku odbijały się na scenach teatrów studenckich niczym w zwierciadle, tyle że niekiedy mocno krzywym. Jak będzie tym razem?

Organizatorem „Startu 81" jest Rada Uczelniana SZSP Uniwersytetu Łódzkiego. Biorą zaś w nim udział zespoły, które w większości zdołały już zaznaczyć swoją aktywną obecność w studenckiej kulturze nader pozytywnie m. in.: **„Teatr Ognia i Papieru" z Lublina, „Wiatyk" z Bytomia, „Próg" z Warszawy, Teatr Poezji „Fakt" z Wrześni, „TUBB II" z Wrocławia, Studio Małych Form Teatralnych z Kalisza.** Wystąpi także zrekonstruowany, a właściwie utworzony od nowa **łódzki „Pstrąg"** Emocji więc zapewne nie braknie.

Przegląd widowisk teatralnych będzie uzupełniony i wzbogacony wielością różnorodnych imprez towarzyszących, a to m. in. projekcjami filmów, które nie weszły na ekrany kin z różnych względów, występami renomowanych teatrów, koncertami itp.

ZBIGNIEW S. NOWAK

wypowiedź niesceniczna

Na końcu długiego stołu przy maszynie do pisania siedzi dziennikarz. W pewnym oddaleniu od niego po obu stronach tego samego stołu przysiedli aktorzy: dwie kobiety i trzech mężczyzn; wszyscy w wieku trzydziestu paru lat. Na pomalowanych na ciemnozielony kolor ścianach wiszą teatralne plakaty: „Koło czy tryptyk", „Retrospektywa", „Budowa", „Pasja III". W kącie biblioteczka, obok niewielka kanapa; na parapecie okna wpół zasłonięte grubymi pluszowymi zasłonami telewizor.

Dziennikarz sięga po rozpoczęty scenariusz, kładzie go obok maszyny, zerka na tytułową stronę i poczyna przepisywać:

„ZRZESZENIE STUDENTÓW POLSKICH
KLUB STUDENTÓW ŁODZI
TEATR 77
przedstawia teatralną wypowiedź
„KOŁO CZY TRYPTYK"
Łódź, styczeń — wrzesień 1971 r...."

AKTOR I (wstaje): *Panie i Panowie! Mam zaszczyt otworzyć dzisiejszą konferencję prasową dotyczącą wydarzeń na Wybrzeżu...*

Dziennikarz przerzucający karty scenariusza przerywa mu stukotem maszyny:

„Obywatele i Obywatelki! Zwracam się do Was w chwili, której powagę odczuwacie chyba wszyscy. Tragiczne wydarzenia w Gdańsku i na Wybrzeżu przeżywamy wszyscy bardzo głęboko... Od trzech dni Gdańsk i Wybrzeże są widownią zajść ulicznych i naruszeń ładu i porządku publicznego. W toku tych wypadków doszło do zdemolowania i podpalenia wielu budynków publicznych, do grabieży i splądrowania wielu sklepów, do zniszczenia wielu samochodów. Doszło do atakowania i strzelania do milicjantów i żołnierzy stojących na straży porządku, mienia publicznego i prywatnego, a także bezpieczeństwa obywateli. Doszło do tragicznych starć, w których siły porządkowe zmuszone zostały do użycia broni. Są ofiary w ludziach..."

Stojący aktor daje znak i reszta podnosi się z krzeseł.

AKTOR I: To prawda, że doszło do różnych nieodpowiedzialnych wystąpień chuliganerii, ale to był margines. Nie, nie możemy się zgodzić z taką interpretacją tych wydarzeń..

AKTOR II: Myśmy nie rabowali!

AKTORKA I: Myśmy wyszli protestować, a tu czytamy o „elementach nie mających nic wspólnego z klasą robotniczą".

AKTOR III: Przecież dobrze wiemy, jak było naprawdę!

AKTORKA II: W zakładach pracy zorganizowano stałe dyżury zabezpieczające...

AKTOR II: Sami usuwaliśmy zniszczenia...

AKTOR III: Oddaliśmy rannym krew...

AKTOR I: I przelaliśmy swoją krew!

AKTOR II: Dosyć już tego klajstrowania!

AKTORKA I: Co innego jest w gazetach, a co innego dzieje się dookoła. My przecież mamy oczy, nie? Chcemy prawdy. Niech to, co piszecie, będzie przykre, złe, bolesne, ale niech będzie prawdziwe...

Aktorzy siadają. Dziennikarz znów sięga do scenariusza. Pisze:

„Do ludu Warszawy przemawiał w dniu wczorajszym tow Wiesław. Plac Defilad przed Pałacem Kultury i Nauki rozsadzały tłumy warszawiaków. Gdy staje na trybunie tow. Gomułka, z setek tysięcy piersi wyrywają się gorące słowa pieśni „Sto lat, sto lat, niech żyje nam!" A potem jak rzeka rozlewa się entuzjazm, ludzie krzyczą, klaszczą, szczęście dławi łzami w gardle, całują się, rzucają kapelusze i czapki w górę... Ci ludzie nie zawiodą. Rozumieją, że ich zadaniem dzisiaj — uczciwie i wydajnie pracować, że przyszłość kraju, przyszłość ich rodzin, przyszłość ukochanego miasta Warszawy — w ich rękach."

Aktorzy znów wstają i jeden po drugim wypowiadają swoje kwestie:

AKTOR I: A teraz dość teatru! Wygodnego „kibicowania" i oglądania karykatury społeczeństwa, którą tworzyliśmy wspólnie!

AKTOR II: Rewolucja u góry nie załatwiła wszystkich naszych wątpliwości...

AKTORKA I: Nie zwolniła nikogo z nas od obowiązku czuwania nad przebiegiem realizacji złożonych sobie niedawno obietnic!

AKTOR III: Nikt z nas nie będzie myślał, pracował i protestował kiedy trzeba!

AKTORKA II: Nie istnieje nic takiego, jak europejskie czy światowe stowarzyszenie pomocy niezaradnym narodom!

AKTOR II: Nie wierzymy, aby niektórzy ludzie tak przezarci konserwatyzmem mocą jednej uchwały przemienili się w zastęp jasnych aniołów!

AKTOR I: Dlaczego nie wolno nam trzymać się z dala od polityki!

AKTORKA I: Nie wolno nam czekać!

AKTOR III: Musimy rozliczać się na bieżąco!

AKTORKA II: I nie z pozycji horyzontalno-tapczanowej

AKTOR II: Przy kolacji...

AKTOR I: Plując na ministrów...

AKTORKA I: Ale zaczynając od siebie!

AKTOR III: Od swoich kolesiów i szefuniów!

AKTOR II: To już ostatni dzwonek!

AKTORKA II: Ostatni dzwonek, jeśli nie chcemy dreptać w miejscu.

AKTOR I: Na egzotyczną...

AKTOR III: Chocholą nutę...

AKTORKA I: W samym środku Europy!

Aktorzy siadają. Dziennikarz pisze:

„Obywatele! Mówię do Was z głębokim bólem, bo to nasze piękne, znane ze swej pracowitości, z patriotyzmu i z zamiłowania do porządku miasto stało się terenem zbrodniczej prowokacji i krwawych zajść, które wstrząsnęły sumieniem każdego uczciwego Polaka, i które społeczeństwo z całych sił stanowczo potępia... O ile robotnicy Poznania mieli niewątpliwie na celu przedstawienie swych postulatów co jest ich prawem — to prowokatorzy i agenci imperialistyczni mają na oku coś zupełnie odwrotnego. Chcą przeszkodzić w realizacji tych postulatów, co im się nie uda, chcieliby wywołać anarchię, która przeszkodziłaby także postępującym procesom demokratyzacji naszego życia."

Aktorka I: Zespołem staliśmy się dopiero po Spotkaniach Teatralnych w grudniu 1970 roku. Wystawialiśmy wtedy spektakl pt. „Rosjo — żono moja". Na tle tego, co wówczas pokazał Teatr STU, czy „Kalambur", nie było to znaczące widowisko. Ale w chwili, gdy oczekiwaliśmy na werdykt ktoś włączył telewizor...

Dziennikarz przerywa jej stukotem maszyny:

„Towarzysze i Obywatele! Rodacy! W dniu dzisiejszym KC PZPR powierzył mi obowiązki I sekretarza. Zwracam się do Was w imieniu partii. W ostatnim tygodniu zaszły wydarzenia, które głęboko wstrząsnęły całym społeczeństwem i postawiły ojczyznę w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa... Wydarzenia te przypomniały nam w sposób bolesny podstawową prawdę, że partia musi zawsze utrzymywać ścisłą więź z klasą robotniczą i całym narodem, że nie wolno jej utracić wspólnego języka z ludźmi pracy..".

Aktorka I: I może już wtedy właśnie narodził się następny spektakl. Ale propozycja scenariusza pt. „Koło czy tryptyk" została złożona w parę miesięcy później. Materiał ten nie budził w nas — ludziach bardzo jeszcze młodych — specjalnych zastrzeżeń, bo pewnie nie został w całości zrozumiany. Podczas prób nabieraliśmy poczucia, że mówimy o sobie. Bardziej o sobie aniżeli jakimkolwiek innym, pięknym tekstem teatralnym. Ale dopiero w kontakcie z publicznością uświadomiliśmy sobie, czym jest energia zgromadzona w tym spektaklu, jak ona z nas promieniuje i jak do nas wraca. I wtedy dopiero naprawdę staliśmy się zespołem.

Aktor I: Postanowiliśmy przecież, że „Koło czy tryptyk" nie będzie zwykłym przedstawieniem, że będziemy je grali tylko wtedy, gdy w nas samych zaistnieje emocjonalna potrzeba tej wypowiedzi. I musieliśmy przerwać w 1972 roku po 34 spektaklach, bo „Tryptyk" zaczął stawać się już tylko teatrem. Miał swoje koleiny, swoje przyzwyczajenia. Był coraz bardziej nieautentyczny.

Aktor II: Tak, nie chcieliśmy i nie mogliśmy być tylko teatrem. I do roku 1976 byliśmy raczej jednym wielkim kłębkiem dyskusji. Właściwie nie istniało jakieś tam życie, wszystko przeradzało się w rozmowy o teatrze. Pisaliśmy nawet prace magisterskie o tym teatrze.

Aktor I: Przed rokiem siedemdziesiątym robiliśmy teatr, w którym niekoniecznie trzeba się było zgadzać ze spektaklem. Podejmując prace nad „Tryptykiem" powiedzieliśmy sobie, że mogą w tej robocie uczestniczyć tylko ci, którzy akceptują jej program. I potem w miarę upływu czasu spektakl ten działał na zasadzie sprzężenia zwrotnego, budował nasz zespół.

Aktor II: „Tryptyk" był dla mnie niesłychanie wielkim wstrząsem. Ale przez to, że był właśnie taki rewolucyjny, taki impulsywny, gwałtowny, brakowało mu uniwersalności. Takie wówczas nadeszły czasy. I rodzi się pytanie — czy teraz, gdy czasy są równie burzliwe, moglibyśmy coś takiego powtórzyć? Uważam, że nie.

Aktorka I: Wprawdzie czujemy w sobie potrzebę zrobienia czegoś, co dawałoby równie wiele satysfakcji z roboty i z siebie samych. Ale wówczas założyliśmy sobie bardzo wysoki program moralny, program zwykłej, ludzkiej uczciwości. I ten program postawił nas po paru latach w pozycji Katonów. Już nas nikt nie chciał słuchać, a nawet pokazywano nam na każdym kroku śmieszność takiej postawy.

Aktor II: „Tryptykiem" daliśmy niejako władzy mandat zaufania i potem w następnych spektaklach: w pierwszej wersji „Pasji", w „Retrospektywie", w „Budowie" staraliśmy się to wyegzekwować.

Aktorka I: Uważaliśmy, że zasada uczciwości począwszy od samego siebie jest zawsze aktualna. Mimo że stawało się to coraz bardziej nierealne. Nawoływaliśmy do rozliczania prostych ludzi w domu, w drodze do pracy, w samej pracy, a wokół działy się wielkie skandale.

Aktor I: Widzieliśmy jak szarpie się dialog między władzą a społeczeństwem. Chcieliśmy to pokazać. W 1974 roku weszła na scenę „Retrospektywa".

Aktor III: „Retrospektywa" nie była już tak gorąca jak „Tryptyk".

Aktorka I: Ale nadal uważaliśmy, że obowiązuje nas hasło uczciwości. Nazywano nas nawet młodymi marksistami z Teatru 77. Myśmy wciąż działali i myśleli kategoriami „Tryptyku".

Aktor I: „Retrospektywa" była spektaklem krytycznym o rzeczywistości. Była opowieścią o szukaniu historii w sobie, w tradycji, w literaturze. O szukaniu tam tych przyczyn, które nie pozwalają zrealizować się temu społeczeństwu, przeszkadzają mu budować socjalizm. Była to opowieść o społeczeństwie coraz wyraźniej dzielącym się na MY i ONI. Ale nadal żyliśmy na moralnym poziomie „Tryptyku", wierząc, że to właściwie od nas zależy wszystko. I otóż w okolicach 1975 roku mnie i jeszcze parę osób w teatrze nawiedziła szajba. Była to szajba zakonna. Przygotowywaliśmy się do wystawienia „Budowy". I cały okres przygotowań zakończył się plebiscytem, który był wspólnym określeniem spośród nas tych, którzy spełniają w wystarczającym stopniu tożsamość własnego życia z tym co się dzieje w teatrze. Wybraliśmy siedem osób, które miały wziąć na siebie zadania mobilizowania innych żeby dorastali do tego poziomu w życiu prywatnym. Było w tym wiele harcerstwa, a jednocześnie wiele żarliwości.

Aktor III: To było w sumie fałszywe, bo nie wszyscy wybrani, byli rzeczywiście wybranymi.

Aktor II: A poza tym życie było całkiem inne.

Aktor III: Dlatego kłóciliśmy się ze sobą.

Aktor I: I to potwornie podzieliło zespół. Część odeszła, bo nie uznała ani lepszych, ani gorszych.

Aktor II: To była po prostu paranoja. Jak o tym myślę to się wszystko teraz jeszcze we mnie trzęsie.

Aktorka II: Należałam do tych, co to całe noce mogli przesiedzieć na próbach. Później, ta nasza czystość zaczęła przeszkadzać w praktyce.

Aktorka I: Wrócę na chwilę do „Retrospektywy". Był to spektakl — test, stawiał on bowiem widza przed konkretnym wyborem. Gdy ludzie przychodzili po bilety wręczano im materiał, który był lekturą i mówiło się im, że przedstawienie wymaga pewnego przygotowania. Chcieliśmy każdego widza traktować jakoś prywatnie i podsuwaliśmy mu, że od tego jak nas zrozumie, zależą dalsze wystawienia „Retrospektywy". Ludzie podawali nam swoje nazwiska, adresy, a my informowaliśmy, że będziemy z nimi korespondować, bo chcieliśmy być bardziej w związku z tymi, którzy żyją innymi problemami niż my, chcieliśmy się przez nich orientować w sytuacji społecznej, politycznej. Spektakle kończyły się dyskusjami. I w tych dyskusjach prowadziliśmy naszą misję, dowodząc, że w dalszym ciągu odpowiedzialność zaczyna się od nas. Od każdego człowieka, który musi sam wszystko wykonywać uczciwie i trzymać łapę na pulsie, bo inaczej, to mu ta odpowiedzialność umknie. Pisaliśmy listy do naszych widzów, przedstawiając tam sprawy, które nas niepokoiły i prosiliśmy o ustosunkowanie się do nich. Tak powstał materiał wyjściowy do następnego spektaklu, do „Budowy".

Aktor I: „Budowa" była też próbą twórczości zbiorowej. Wszyscy złożyli się na scenariusz. To prowadziło do chaosu, do zamętu w realizacji, miało też wpływ na jakość. Teraz wiem już, że każda sztuka tworzona nawet przy pełnej akceptacji zespołu wymaga zebrania zbiorowej energii przez jednego człowieka.

Aktorka I: I wreszcie doszło do szczytu naszego szaleństwa. Każdy miał spotkanie i spowiadał się przed zespołem z tego co mu się nie udało, dlaczego jest taki a nie inny. Burza mózgów w aspekcie oczyszczającym.

Aktor I: Był to jednocześnie zabieg przygotowujący nas do działania na terenie „Budowy". Tam w założeniu spektakl zaczynał się od wystąpienia jednego z nas wobec publiczności, podczas którego opowiadał on o swoim życiu. W jaki sposób boryka się z tym rozdarciem między życiem a teatrem. To była bardzo okrutna wiwisekcja. Ciężko jest publiczności powiedzieć coś o sobie. Za parawanem teatru można się swobodnie wypowiadać. Ale tu nie było żadnego parawanu, żadnej konwencji. Cały spektakl odnosił się krytycznie do rzeczywistości, lecz w przesłaniu końcowym wychodziliśmy z goździkami, które otwierały spektakl i raz jeszcze mówiliśmy ludziom, że pojedyncze sumienie jest głównie odpowiedzialne za rozwój rzeczywistości. Nie system, nie doktryna, nie ustrój, nie władza, tylko szary człowiek.

Aktor II: Popełniliśmy błąd. W „Tryptyku", w „Retrospektywie" stawialiśmy po prostu pytania. A sztuka jest przede wszystkim stawianiem pytań. „Budowa" dawała odpowiedź. Nie dosłownie, ale wychodząc do publiczności z tym idiotycznym goździkiem mówiliśmy, że wszystko jest o'kay, że my w to wierzymy. A był już Radom i Ursus. A my z tym gestem nadziei. Nikt z nas goździka nie dawał nieuczciwie. Tylko się okazało potem, że tak zapędziliśmy się w tej naszej moralnej czystości, masonerii, w tej pracy u podstaw, że w końcu zostaliśmy stłamszeni.

Aktorka I: Ci, którzy z nami korespondowali, nagle zaczęli się wycofywać. Pisali i mówili, że listy słane do nas były mandatem zaufania i myśmy to zaufanie zawiedli.

Aktor III: Byli i tacy, którzy nie potępiali nas, którzy cenili nawet za to, że byliśmy tak konsekwentni.

Aktor II: Od tego czasu do szału mnie doprowadza, gdy ktoś domaga się, by mu sztuka podsuwała rozstrzygnięcia. Sztuka ma przede wszystkim pytać. Więc pytamy. Ale bywa często tak, jak w dyskusji po wystawieniu „Pasji III" w listopadzie ub. roku w Gdańsku, gdzie ktoś nam zarzucił — czemu nie proponujecie żadnych rozwiązań?

Aktor I spogląda na zegarek, wstaje, włącza telewizor, czeka aż w odbiorniku ukaże się obraz i popłynie głos:

„Towarzyszki i Towarzysze! VI Plenum Komitetu Centralnego określiło drogę przezwyciężenia głębokiego kryzysu, jaki przeżywamy oraz wytyczyło kierunki działań zmierzających do normalizacji życia i do stworzenia podstaw dla dalszego rozwoju. Partia i społeczeństwo przyjęły uchwały VI Plenum z aprobatą, wiążąc z nimi swoje nadzieje i oczekiwania.

Czy wydarzenia ostatnich dwóch miesięcy nadzieje te potwierdziły? Odpowiedź na to pytanie nie jest jednoznaczna..."

Aktor I wyłącza telewizor, podchodzi do biblioteczki, wyjmuje z niej nowy scenariusz, wręcza dziennikarzowi i wraca na swoje miejsce. Dziennikarz kładzie go obok maszyny, zerka na tytułową stronę i poczyna pisać:

Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe
TEATR 77
kontynuacja tematu podjętego przez Teatr 77 w 1972 roku
Łódź, październik 1980 r."

Aktorzy wstają i jeden po drugim wypowiadają swoje kwestie:

AKTOR I: 1956, 1968, 1970, 1976... Mieliśmy wyprostować koło a znów jesteśmy na zakręcie... Rozwinięte społeczeństwo socjalistyczne... Bałagan i ofiary... Ta wasza religia odebrała mi wiarę.

AKTOR II: I co dalej, towarzysze?

AKTOR III: Nie, nie, nie! Nie wolno nam z siebie zrezygnować! Nasze racje są większe, niż wszystkie błędy, które popełniliśmy.

AKTORKA II: Racje? Czyje racje?

AKTOR III: Nasze racje. Nasze wspólne racje.

AKTOR I: Uzgodnione w szczerej, przyjacielskiej atmosferze. Kiedy wreszcie skończymy z tym pacierzem? Kiedy nasza tożsamość i demokracja przestaną być prezentem dla nas?

AKTOR II: Chcecie wziąć odpowiedzialność za to, żeby ktoś za nas uporządkował nasze sprawy? Nie, nie wolno nam do tego dopuścić. Musimy się ze sobą dogadać.

AKTORKA I: Chcę powiedzieć, że nie jestem pewna czegokolwiek. Moje trzydziestoparoletnie życie nauczyło mnie przede wszystkim nieufności. Myślę, że nie jest ważne w którą stronę się płynie, czy z biegiem rzeki, czy pod prąd, jeżeli żyje się w rzece zatrutych słów... Jaką możecie mi dać gwarancję, że uda nam się żyć prawdziwiej?

AKTOR II: Zamiast rozprawiać o gwarancjach, pomówmy o ważniejszej sprawie. Myślę o prawie do krytyki i kontroli. Ale postawmy sprawę jasno: żeby krytykę uczynić skuteczną i żeby rzeczywiście mogła ona bronić naszych interesów, musimy jej zapewnić całkowicie niezależną organizację.

AKTOR I: Ale to stanowczo za mało. To, co powinniśmy teraz zrobić — to dokonać takiej analizy obecnego kryzysu, ażeby wykryć w nim mechanizmy, które sprawiają, że kryzys ten nieustannie reprodukuje się. Nie można tego dokonać sięgając jedynie do błędów polityki gospodarczej, tłumacząc go nieudolnością planujących i rządzących. A może my nie mamy możliwości manewru...?

Aktorzy wychodzą. Dziennikarz wystukuje na maszynie:

Na podstawie scenariuszów spektakli i rozmów z aktorami Teatru 77: Zdzisławem Hejdukiem, Janem Gąsiorem, Krystyną Kołkowską, Andrzejem Pałubskim, Katarzyną Spolińską, Januszem Wiśniochem napisał

TOMASZ JAWORSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Współpracujący z nim reżyserzy wzięli się do porządkowania zaniedbanych przez całe lata spraw samorządności środowiska filmowego. Zespoły Realizatorów Filmowych — wykształcony po 1956 r. model samorządu twórców — z biegiem lat ulegały ubezwłasnowolnieniu; wzrastała liczba krępujących je przepisów, a najważniejsze decyzje personalne i programowe zapadały w centrali, która obejmowała wszystkie sprawy kinematografii krzepką pazerną dłonią. W urzędnikach ministerstwa znajdował twórca najczęściej nie rzecznika swoich spraw, tylko podejrzliwego cenzora. Nastąpiło odwrócenie pojęć. Resort był dumny nie z tego, co udało mu się promować jako wartość kultury polskiej wpisaną w kulturę światową, tylko z tego, co udało mu się zatrzymać. Kiedy dziś ogląda się przetrzymywane latami na półkach filmy, wprost dziwi niewiara pewnych urzędników w trwałość ustroju socjalistycznego w Polsce.

Ale nie tylko ta pożałowania godna praktyka zaciążyła na obrazie kinematografii polskiej i podkopała jej podstawy. Zacytujmy może wypowiedź **Andrzeja Wajdy**, który w końcu ubiegłego roku złożył znamienne oświadczenie na łamach „Życia Warszawy":

„Jest konieczne stworzenie wreszcie przejrzystego systemu organizacji i przepisów, który ujawniłby prawdziwe wyniki naszej pracy. Kinematografia żyje bowiem pod przykrym podejrzeniem żebraka, który niesłusznie bierze pieniądze. Tymczasem filmy zagraniczne na polskie ekrany kupujemy za kilka naszych filmów sprzedanych na Zachodzie i kilkanaście sprzedanych do krajów socjalistycznych. Nasze filmy na polskich ekranach także przynoszą jakiś dochód.

Trzeba tylko, żeby te pieniądze służyły kinematografii zamiast centralom handlu zagranicznego. Trzeba uporządkować również rozliczenia z telewizją, nie może być tak, żeby za wyświetlanie polskiego filmu telewizja płaciła kinematografii 300 tysięcy złotych. Jest to kompletny absurd. A czy jest prawidłowe, żeby kinematografia obciążała wyłącznie swoje konto zakupem bardzo cennej taśmy, której 60 procent przeznacza się na filmy realizowane dla telewizji, z której korzystają także instytucje nie mające z kinematografią nic wspólnego? Zanim więc ktoś wyciągnie rękę wskazując na nas jako ludzi nieodpowiedzialnych gospodarczo, którzy żyją ze społecznych pieniędzy, trzeba, żeby poznał prawdę. Tego tylko żądamy i tego potrzebujemy."

Ten zespół poglądów patronował drugiemu dniu obrad Nadzwyczajnego Zjazdu Filmowców Polskich, który odbył się dokładnie w Dzień Kobiet.

Po porannej części obrad, dotyczącej spraw statutowych i wewnątrzstowarzyszeniowych, obrady popołudniowe dotyczyły spraw merytorycznych. Ale kiedy na trybunę wyszedł minister **Tejchma**, zebranych spotkał pierwszy zawód. Zamiast informacji o tym, że władze ministerialne zatwierdziły na stanowiskach kierowników artystycznych zespołów filmowych twórców wybranych w demokratycznych wyborach padły ogólniki. **Ogólniki, choćby najbardziej słuszne, pozostają jednak ogólnikami, a dzisiejszy, pospieszny czas, wymaga konkretów.** Toteż na większości wypowiedzi dyskutantów zaciążył ton nieukrywanej goryczy. Ton rozczarowania zabrzmiał także w głosie **Andrzeja Wajdy**, który w referacie

GORYCZ NADZIEI

Stowarzyszenia Filmowców Polskich przedstawił nierówną walkę społecznej Komisji do spraw Reformy Kinematografii z impregnowanymi na wszelkie zmiany władzami administracyjnymi.

Że będzie to walka nierówna, zdawaliśmy sobie sprawę wszyscy obserwując inne, równie newralgiczne jak kultura dziedziny naszego życia, gdzie każde ustępstwo osiąga się nieproporcjonalnie wysokimi kosztami społecznymi. Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy z tego, że będzie to, od pół roku, walka beznadziejna i wyczerpująca, czego dowodem rezygnacja paru członków prezydium Zarządu Głównego SFP jako wyraz niewiary w skuteczność podejmowanych przez środowisko filmowe działań. Nic dziwnego, że te ciemne nastroje podsunęły projekt powołania **Komitetu Ocalenia Kinematografii** jako strażnika działań modelowych zmierzających do zreformowania kinematografii w naszym kraju, zapewnienia jej dróg rozwojowych, przywrócenia proporcji w decyzjach programowych samorządnych zespołów twórczych i władz administracyjnych na zasadach partnerstwa, wydzielema środków z budżetu państwa na realizację filmów.

Na pesymizm obrad wywarła także wpływ świadomość, że tego samego dnia w Warszawie, w trzynastą rocznicę wydarzeń marcowych, odbyły się dwa wiece. Jeden na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego. Drugi, pomyślany chyba jako kontrwiec i firmowany przez Zjednoczenie Patriotów „Grunwald" na ulicy Koszykowej 2 przed dawną siedzibą Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Na temat obu tych wieców wypowiedział się później w wywiadzie dla „Życia Warszawy" generał **Mieczysław Moczar:**

„Wydarzenia marcowe 1968 roku miały złożony charakter. Z jednej strony sygnalizowały one kryzys zaufania, na co zwrócił uwagę towarzysz Kania na ostatnim posiedzeniu Komisji Zjazdowej. Z drugiej zaś strony były wyrazem narastających konfliktów społecznych i wewnątrzpartyjnych, z których najczęściej nie zdawała sobie sprawy młodzież w wydarzeniach tych uczestnicząca. Oba wiece, które odbyły się w Warszawie w nawiązaniu do wydarzeń marcowych sprzed trzynastu lat, miały, według mnie, charakter skrajny, jątrzący i wyrządziły Polsce szkodę. Jeżeli to co mówię, może mieć wpływ na uspokojenie, wszyscy zbowidowcy będą z tego radzi.

Żyjemy w bardzo ciężkim okresie. Mamy do rozwiązania niezmiernie trudne problemy. Nie należy dziś podejmować niczego, co odwraca uwagę społeczeństwa od aktualnych zadań lub ożywia stare podziały (...)

Mały zasięg obu wieców świadczy, że społeczeństwo nie chce skrajności. Jestem przekonany, że takie jest też stanowisko środowiska kombatanckiego i wszystkich rozumnych ludzi w Polsce, ludzi połączonych sojuszem rozsądku i patriotyzmu."

Nie cytowałbym tego tak szczegółowo, gdyby nie fakt, że sprawa wiecu na Koszykowej 2 przewijała się przez wiele głosów w dyskusji na zjeździe filmowców. Zabrał także głos uczestnik wiecu na Koszykowej, reżyser **Bohdan Poręba**, broniąc racji demonstrujących.

Ale pomimo tych, wpisanych niejako w nawias dyskusji, wypowiedzi, na zjeździe mówiono przede wszystkim o sprawach filmu w kategoriach zmarnowanych szans. Tak na przykład na nic się nie zdało wywalczone w ubiegłym roku przez ministra **Tejchmę** 900 tys. zł dewizowych na zakup zagranicznych filmów; pieniądze te znalazły się po prostu za późno, aby coś zmienić. W kontekście podobnych działań administracji **Jerzy Płażewski** dostrzegł ogromne niebezpieczeństwo dla kinematografii rodzimej, która jest dofinansowywana z zysków, jakie osiągamy eksploatując zachodnie szlagiery. Od marca roku ubiegłego nie dokonaliśmy ani jednego zakupu. W tej sytuacji pod znakiem zapytania stoją nawet posiadające wieloletnią tradycję „Konfrontacje" i kto wie, czy tegoroczne nie będą ostatnimi. Niespełniane systematycznie obietnice zakupów rzeczywiście nie wzbudzają zaufania do działalności administracji, która zresztą znajdowała się pod nieustannym obstrzałem. Krytycznie wypowiedział się na temat praktyk władz kinematografii, zwłaszcza władz średniego szczebla, **Krzysztof Kieślowski.** Nie pozostała w tyle **Agnieszka Holland.** Dolał oliwy do ognia **Janusz Zaorski.** Reżyser **Bugajski** stwierdził po prostu, że nic się nie zmieniło. Ton pesymizmu na temat sytuacji młodych dało się słyszeć z pośmiertnego głosu **Wojciecha Wiszniewskiego,** odczytanego przez jego przyjaciela **Krzysztofa Skudzińskiego.** Wobec Wiszniewskiego administracja kinematografii ma szczególne zasługi, ponieważ za jego życia prawie żaden film, który zrealizował, nie trafił na ekrany. Dopiero śmierć tego utalentowanego reżysera stała się pretekstem do pokazania w telewizji takich filmów jak „Stolarz" czy „Elementarz", które przez całe lata były znane tylko najwęższemu kręgowi przyjaciół Wojtka.

Problemy i kłopoty środowiska filmowego nie są izolowane od sytuacji w całej kulturze polskiej. Podobne rozczarowania przeżywają literaci i plastycy, aktorzy i architekci. Prezes **Puciato,** reprezentujący na zjeździe Zarząd Główny Związku Polskich Artystów Plastyków wystąpił do ministra Tejchmy z dramatycznym apelem, aby uwierzył twórcom.

Nic też dziwnego, że minister zabrał głos po raz drugi, ustosunkowując się do wypowiedzi w dyskusji. Nie była to polemika, gdyż kierownik resortu kultury podkreślił na samym wstępie, że rozumie motywy goryczy. Stwierdził także, że jest otwarty na wszystkie oceny, jakie dojrzewają społecznie

Józef Tejchma zwrócił przede wszystkim uwagę na specyficzne prawo, jakie towarzyszyło całej powojennej historii Polski. **Nazwał je prawem malejącej, wraz z bogaceniem się społeczeństwa, rangi kultury.** Wzrostowi zamożności nie towarzyszyło uczestnictwo w kulturze. Skutki tego obserwujemy w życiu społecznym w postaci wstrząsu, jakim były ubiegłoroczne wydarzenia sierpniowe i to wszystko, co odsłoniły.

Gorzko, mimo wszystko, zabrzmiały słowa ministra, że rok bieżący resort traktuje jako rok poszukiwań. Nie tylko w dziedzinie kinematografii, której alarmistyczną ocenę dokonaną przez zjazd SFP w pełni podziela i jest, wraz z nowym resortowym wiceministrem **Mielcarkiem** rzecznikiem walki o ocalenie kinematografii. Problem jest znacznie szerszy. Środki na kulturę muszą się znaleźć, mimo tak trudnej sytuacji gospodarczej państwa. Już zwyciężyło stanowisko, że w bieżącym roku zostanie wydzielone z budżetu państwa 0,9 proc. na kulturę właśnie. Jest to szansa społeczna. Szansa, która musi rozstrzygnąć się w walce o koncepcję społeczeństwa.

Po ministrze zabrał jeszcze głos **Bohdan Kosiński,** upominając się o film dokumentalny, rozumiany jako obowiązek dokumentowania historii.

To samo zresztą odnosi się do ogromnie ważnej dziedziny filmu fabularnego, który wywiera ogromny wpływ na kształtowanie świadomości społecznej. Czy cała fala filmów „niepokoju moralnego" nie była zapowiedzią tego, co tak drastycznie odsłania teraz prasa, NIK, komisje kontroli partyjnej? Czy „Człowiek z marmuru" Wajdy nie był próbą syntezy polskiego romantyzmu, który doznał gorzkiego rozczarowania w grudniu 1970 roku? A który odżył na nowo w masowych protestach robotniczych?

Sprawy kultury są nieodłączne od życia narodu. Naród poza kulturą skazany jest na zagładę moralną. Dlatego problemy podnoszone tak bezkompromisowo na Nadzwyczajnym Zjeździe Stowarzyszenia Filmowców Polskich są problemami ogólniejszej natury, odnoszącymi się także do innych dyscyplin sztuki, które poprzez ograniczenia cenzuralne albo bariery techniczne doznały w ostatnich latach drastycznych ograniczeń. Powołując Komitet Ocalenia Kinematografii, który ma zająć się w pierwszym rzędzie reorganizacją zespołów filmowych i przedsiębiorstwa „Zespoły Filmowe", przywrócić samorządne kierownictwa artystyczne twórczym kolektywom realizatorów, zająć się sprawą zbędnych ogniw administracji, Wajda upomniał się jednocześnie o całokształt spraw naszej kultury, równie zagrożonych jak nasza kinematografia.

Był to zjazd gorzki. Gorzki także dlatego, że ujawnił, iż między kierownictwem resortu kultury a środowiskiem filmowym nie ma przepaści, jest tylko odmienna taktyka. Środowisko może odwołać się do pomocy społeczeństwa. Minister jest w swoich rozterkach samotny.

Wywiozłem z tego zjazdu gorycz nadziei.

KONRAD FREJDLICH

RECENZJE

PROZA

NA TROPACH FAKTÓW

Reymont dla niektórych jest wyłącznie autorem „Chłopów", dla innych — mitem tworzonym przez lata. A jaki był naprawdę jako człowiek, jakie było jego życie? Na to pytanie otrzymujemy wciąż nowe odpowiedzi, by wymienić tylko przykładowo książki: Barbary Kocówny „Reymont", Henryka Dzendzela „O Reymoncie wspomnienia", Tomasza Jodełki-Burzeckiego „Reymont przy biurku", Kazimierza Wyki „Reymont czyli ucieczka od życia".

Penetracje znanego adwokata, Witolda Kotowskiego, objęły całą drogę życiową Reymonta, ale opublikowana praca „Pod wiatr" omawia tylko dzieje młodości pisarza „po rok 1894 — jako kończący okres pionierskiego przebijania się na szeroki gościniec kariery literackiej".

Książka Kotowskiego to pozycja wartościowa przede wszystkim ze względu na obszerny materiał rzeczowy, skrupulatnie uściślony w czasie, przestrzeni, i na tle realiów rodzinnych, obyczajowych i historycznych. W przedmowie autor wspomina, iż bezpośrednią inspiracją do badań nad biografią Reymonta był pobyt podczas okupacji hitlerowskiej w Wolbórce (siedzibie rodziców pisarza) i znajomość z jego siostrami. Zebrane wówczas informacje zostały następnie poszerzone w toku poszukiwań archiwalnych i bibliotecznych, prowadzonych już w latach wojny i po jej zakończeniu oraz w trakcie rozmów z mieszkańcami wsi, w których kiedyś przebywał Reymont. Zwłaszcza wiadomości i opinie ludzi, którzy osobiście znali pisarza, stanowią dokumentację ciekawą i cenną, tym bardziej, że coraz trudniej jest uzyskać dane zdobyte przez Kotowskiego. Jego informatorzy już nie żyją i można się jedynie opierać na przekazach z drugiej ręki. Wydaje się jednak, że sądy różnych osób, przytaczane przez autora, są zbyt jednostronne i pochlebne, a wiadomo mi, że różnie mówiono o Reymoncie i mówi się do tej pory. Nie należałoby więc pomijać negatywnych ocen pracy Reymonta na kolei ze strony miejscowych gospodarzy, lekceważących młodzieńcze, pozazawodowe pasje twórcze pracownika dozorującego roboty na szlaku skierniewickim.

Należy także podkreślić znaczenie źródeł rękopiśmiennych, epistolarnych i autobiograficznych, wykorzystanych przez Kotowskiego. Niektóre z nich już nie istnieją, gdyż korespondencja, odpisana przez autora w czasie okupacji w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, spłonęła w powstaniu 1944 roku.

Budzi zainteresowanie sposób opracowania tego bogatego materiału, np. konfrontacja z fragmentami powieści Reymonta. Autor wielokrotnie ukazuje ścisłe związki łączące życiowe perypetie pisarza i jego otoczenia z fikcją literacką, z dziełami, które napisał.

W książce Kotowskiego, obok solidnych i dokładnych informacji, znajdują się również pewne nieścisłości i drobne błędy, których naturalnie trudno uniknąć przy tak szerokiej skali przedsięwzięcia. Moje zastrzeżenia dotyczą głównie rozdziału „Stalowe szyny" poświęconego pracy Reymonta na kolei w charakterze dróżnika. Pragnę pewne dane sprostować lub uzupełnić

Relacja o pobycie autora „Chłopów" w poszczególnych wsiach wzdłuż linii kolejowej od Rogowa do Płyćwi zawiera luki. Autor omawia tylko niektóre etapy służby pisarza i to raczej mniej ważne. Nie wspomina nic o Makowie i warunkach, w których Reymont tam żył, nie mówi o okolicznościach, w jakich opuścił tę miejscowość. A przecież w Makowie zetknął się z Boryną, który — jak głosi legenda — miał piękną córkę Jagnę, i u którego być może nawet mieszkał. Nic też nie pisze o kłopotach mieszkaniowych pisarza w Płyćwi skąd Reymont zmuszony był wyprowadzić się — właśnie do Lipiec. Natomiast szeroko przedstawia okres pobytu w Krosnowie i Przyłęku, nie obfitujący — jak sądzę — w wydarzenia szczególnie znaczące w biografii Reymonta.

Nasuwają się również inne wątpliwości. Np. czy Kłębowie, których znał Reymont, mieszkali w Krosnowie (tak sądzi Kotowski), czy też w Lipcach? Wiem, że w tych czasach byli oni mieszkańcami Lipiec i dopiero później wyprowadzili się. Zresztą Kotowski zamieszcza fotografię ich chaty, wykonaną w tej wsi, z podpisem „Chata Kłębów w Lipcach Reymontowskich, w której mieszkał Wł St. Reymont...", wcześniej zaś przytacza wypowiedź Stanisława Kuchty, w której tenże stwierdza, że pisarz mieszkał w domu dróżnika w Lipcach. Wspomniana chata Kłębów nie mogła być spalona w czasie pierwszej wojny światowej, jak twierdzi autor książki, gdyż Maria Nowicka, kierowniczka zespołu „Wesele Boryny", która jest autorką tego zdjęcia, przybyła do Lipiec w 1927 roku.

Warto wyjaśnić także kontrowersje wokół odbioru „Chłopów" na wsi. Generalnie zgadzam się z autorem, że utwory o wsi zazwyczaj nie podobają się chłopom. Ale w przypadku Reymonta, „Chłopów", Lipiec i np Krosnowy, czy sąsiedniego Zagórza, rzecz ma się trochę inaczej. Do dzisiaj żywe są spory między poszczególnymi wsiami. Ostry konflikt istnieje między Lipcami i Krosnową, jak niektórzy twierdzą — m.in. właśnie z powodu Reymonta i „Chłopów". Chodzi tutaj głównie o sprawę pobytu pisarza w tych miejscowościach i wpływu obu wsi na kształtowanie się epopei chłopskiej. Jest więc zrozumiałe, że krosnowianom koronne dzieło Reymonta nie podoba się. Natomiast nie spotkałam się do tej pory z negatywnym sądem o „Chłopach" wśród mieszkańców Lipiec Reymontowskich. Wszyscy są dumni z tego, iż imię ich wsi zostało rozsławione w Polsce i na świecie.

Oczywiście wszystkie te uwagi nie pomniejszają wartości omawianej książki. Tym bardziej, iż należą się Kotowskiemu słowa uznania za dokładnie opracowane kalendarium życia młodego Reymonta, za pracę, której nie podjąłby się każdy z profesjonalnych badaczy, pracę bardzo żmudną, nie przynoszącą efektownych rezultatów.

MATYLDA GARBOLIŃSKA

Witold Kotowski. Pod wiatr. Młodość Reymonta. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź, 312 stron, cena 40 zł.

DOKUMENTY

OKRUCHY WIELKICH TEMATÓW

Jan Stanisław Bystroń znany jest szerokim kręgom czytelników przede wszystkim jako autor niezwykle poczytnych i mimo wznowień ciągle poszukiwanych „Dziejów obyczajów w dawnej Polsce". Był socjologiem i znawcą kultury ludowej, ale także wyśmienitym badaczem przemian historyczno-obyczajowych w dawnej Polsce. Zainteresowania jego obejmowały tak rozległe obszary humanistyki, że bez przesady nazwać go można ostatnim polihistorem. Olbrzymi warsztat naukowy z przesławną kartoteką obejmującą wypisy ze wszystkich niemal dziedzin wiedzy humanistycznej, zapewniał J. S. Bystroniowi możliwość swobodnego poruszania się w różnorodnej tematyce. Wydaje się jednak, że największe zasługi, do dziś w pełni niedocenione, położył dla rozwoju etnografii. Postawienie nowych pytań badawczych, wyznaczenie ich problematyki o dalekich perspektywach naukowych, nazwał L. Stomma „przełomem bystroniowskim" w etnografii polskiej.

„Tematy, które mi odradzano", to książka szczególna. Nie tylko poprzez swój nieco przewrotnie sformułowany tytuł. Przynosi ona rozproszone pisma etnograficzne J. S. Bystronia. Tom zawiera 17 prac reprezentatywnych dla całego dorobku etnograficznego autora, zgrupowanych w układzie problemowym, podkreślającym rozległość zainteresowań. W większości są to przedruki z trudno dziś dostępnych periodyków specjalistycznych. Wstęp, pióra L. Stommy przedstawia sylwetkę naukową J. S. Bystronia i wprowadza w problematykę tomu. Znajdujemy w nim niezwykle interesującą rozprawę o napisach, jedyną bodaj tego typu w polskiej literaturze etnograficznej a traktowaną przez Bystronia jako wstęp do zagadnienia. Apel autora o kontynuację badań nad tym tematem pozostawał przez długie lata bez echa, podczas gdy unikalne inskrypcje bezpowrotnie ginęły. Z kolei trzy rozprawy z dziedziny magii ludowej (o wymuszaniu urodzaju na drzewach, obrzędowym obracaniu się, przeżytkach wiary w magiczną moc słowa) zaznajamiają ze sposobem rozumowania i wnioskowania autora. W zagadnienia związków między wyobrażeniami demonologicznymi i czasoprzestrzennymi w kulturze ludowej, których J. S. Bystroń był prekursorem, wprowadzają dwa obszerne szkice: „Czynniki magiczno-religijne w osadnictwie" i „Szlaki migracyjne na ziemiach polskich". Na uwagę zasługuje też fragment znanej pracy „Megalomania narodowa", w którym J. S. Bystroń wskazuje na źródła powstania stereotypu Niemca w kulturze polskiej. Ostatni blok tematyczny, to literatura ludowa, do którego L. Stomma wybrał fragmenty najcenniejszych do dziś aktualnych prac Bystronia. Na pokreślenie zasługuje fakt, że wszystkie prezentowane w tomie rozprawy opatrzone są przypisami. Pozwala to z jednej strony zorientować się w drogach kontynuacji badań nad tematami zainicjowanymi przez J. S. Bystronia, z drugiej zaś stanowi wskazówkę bibliograficzną. Cennym uzupełnieniem tomu jest bibliografia ważniejszych prac J. S. Bystronia i indeks osób.

Już z pobieżnego przeglądu treści wynika, że pozycja to interesująca. Sięgną po nią bez wątpienia nie tylko profesjonaliści, ale wszyscy wielbiciele talentu pisarskiego J. S. Bystronia i miłośnicy historii i kultury ojczystej. Szkoda tylko, że nakład starannie wydanej książki jest niski.

KRZYSZTOF WOŹNIAK

Jan Stanisław Bystroń, Tematy, które mi odradzano. Pisma etnograficzne rozproszone. Wybrał i opracował Ludwik Stomma. PIW Warszawa, 1980, s. 494, wyd. I, nakład 7.000 egz., 160 zł.

MAKSYM TANK

POMYLONY

Idzie,
Laską stuka o płyty chodnika
I coś pokrzykuje
Wzywając obojętnych przechodniów,
Jadące samochody,
Hieroglify reklam,
Barwne lampiony,
Światełka wczorajszej Hiroszimy.
Któż to jest?
Pomylony.
Ofiara atomowego bombardowania.
Pomylony...
Dlatego chyba domaga się głośno,
Aby wszystkim niewidomym oddano wzrok,
Głuchym — słuch,
Beznogim — nogi,
Bezrękim — ręce.
Aby cienie, które roztopiły się w betonie
Znów wróciły do swych dawnych panów.
Pomylony grozi — jeśli winnych nie ukarzą ludzie i sądy —
Wtedy karę na nich ześlą ci co zginęli...

BORYS SŁUCKI

MARNOTRAWNY SYN

Wyczerpany przez biedę,
Z głodu ręce mu drżą.
Marnotrawny syn wraca
Tam gdzie ojca jest dom.
Stuka w szybę ostrożnie.
— Czy można?
— Tak! Można!
Wszystko można. Więc przeproś
Swego ojca, gdy chcesz:
Oto smaczne pieczyste, bierz!
Dobrze, że już wróciłeś...
Może zostaniesz, tu się urodziłeś.
A syn usta ociera i brodę,
Mięso je, pije zimną wodę.
Aż na czoło wyszły krople potu
Od tej wartej zachodu roboty.
No i zjadł ile mógł,
I wszedł do sypialnej komnaty.
W czystym śpi
Wśród ścian starej ojcowej chaty.
Potem wstaje.
I cicho jak złodziej,
Z kijem niczym pielgrzym w świat odchodzi.

OŁEKSANDR BOHACZUK

OGIEŃ

Kto i kiedy z kamiennej dłoni
Wyjął skrę, ludziom dał? Oni
Też o tym nie wiedzą, bo po co
Myśleć o czymś, gdy ognie złocą
Sprzęty i drewno w palenisku.
Ja nie chcę, aby żar z ogniska
Uciekał w głąb skał przed człowiekiem
Zdmuchnięty atomowym wiekiem...

MIRZO-TURSUN-ZADE

NASZ SAD

Niech leci do was wiatr łagodny
sadu naszego,
Pod niebem ciepłym i pogodnym
sadu naszego.
Poznałem w obcych krajach smak
powietrza innego,
Lecz nie ma wiatru lepszego, jak
z sadu naszego.
I wszedł do niego kołchoźnik — mag
z sadu naszego,
W oczach owocem stawał się kwiat
sadu naszego.
Naprawdę nie ma nigdzie przyroda
tak pięknych szat,
Może potwierdzić to ptak i wiatr
sadu naszego.
Wiecznej młodości bogactw i barw
sadu naszego
Może zazdrościć nam cały świat
sadu naszego.
Więc jeszcze piękniej zakwitł ten sad
od poprzedniego,
Bo staliśmy się gospodarzami pewnego dnia
sadu naszego.

Z białoruskiego i ukraińskiego przełożył:
ROMAN GORZELSKI

JÓZEF STANISŁAW KMIECIAK

statysta

Poszedł tam za namową sąsiadki z przeciwka. Nie pominęła żadnej okazji: panie Michale, pan ma ciekawą twarz, nie ograną, na pewno pana wezmą. Od czasu do czasu sypnęła garść plotek: wie pan, ta aktorka... A znowuż ten aktor, to... Zarzekała się, że nie podsłuchuje, ale trudno, żeby zatykała uszy: tam powietrze pełne głosów.

— Raz pójdę — postanowił — **z ciekawości.**

— Mnie pan nie musi tłumaczyć — ucieszyła się. — **Pewno nie idzie pan tam z innej przyczyny. A ciekawego nigdy za wiele. Co nam jeszcze zostało? Życie umyka.**

Ciekawości tak od razu nie zaspokoił. Rozejrzał się przelotnie — doznał wrażenia ogromu. Przez kilka godzin kręcili w hali zdjęciowej „sceny uliczne". Stwierdził nie bez zdziwienia, że nie czuje tremy przed kamerą i że kostium, choć nie bardzo czysty i niewygodny, nie budzi w nim wstrętu.

Nazajutrz znów miał uczucie, że wchodzi do wnętrza piramidy. Szedł długim korytarzem, niepewny, czy już nie pobłądził. I znów miał dobrą okazję, by z bliska przyjrzeć się twarzom znanym z ekranów: dużego i tego szklanego. Co krok mijał wybitną, znakomitą postać. A tacy tu wszyscy rozbiegani, rozpędzeni, zaaferowani! Energia, zapał, magia. Ten ma twarz roześmianą, radosną, uszczęśliwiony nowym sukcesem, ten jest smutny, poważny, jakby zatroskany o sztukę. Ktoś biegnie w tę stronę i rzuca w przelocie krótkie, pełne treści zdanie, ktoś biegnie w tamtą i czyta jakiś tekst. Przypomniał sobie nagle, że przed paru laty były modne tzw. „filmy chodzone".

Trzeciego dnia szedł tam już jakby z obowiązku. Ale święto powoli zaczęło się kurczyć, euforia przygasła, zwyklało wszystko, powszedniało. Na domiar złego przemówił się z panią kostiumolog.

— Jakoś tak komicznie wyglądam w tej koszuli — westchnął. Pani kostiumolog, miła, elegancka, przystojna kobieta, powiedziała dobitnie:

— Jak się panu nie podoba, to najwyżej może pan nie grać: Pan nie jest aktorem. Nie ta skala.

Zmieszał się trochę, przeprosił, zapewnił, że nic złego nie miał na myśli.

— Tak, nie ta skala — powtórzył zgodnie. I w myślach dodał: **„Byle tylko się nie zniechęcić".**

Po paru dniach odkrył, że statysta jest tu człowiekiem najmniej niezastąpionym. Po planie krzątali się elektrycy, ustawiali jupitery, zapalali, gasili, operator co chwila magicznym ruchem podnosił w górę światłomierz. Reżyser trwał jeszcze w twórczym bezruchu, a pan Michał zaczął tak sobie rozmyślać, rozważać: „... Czy ja tu przychodzę wyobrażać siebie w głównej roli? Nie, ale... A może ja nie znam nawet jednej prawdy o życiu? Może ja nie potrafię przejąć się cudzym bólem?" Coraz bardziej buntował się wewnętrznie. W końcu się przestraszył, że ktoś spojrzy mu badawczo w twarz i odkryje jego zamiar. Nie zwlekając uśmiechnął się do sekretarki planu, która przygotowywała się do kolejnego „klapsa". Zlekceważyła jego uśmiech. Chwilę później przemówił reżyser. Głos miał donośny.

— Cisza! Kręcimy! Uwaga! Kamera...

Ktoś kaszlnął niechcący. Cisza bała się podejść.

— Co za porządek! — zdenerwował się znakomity aktor. — **Jak cisza, to cisza, nikt nie żyje.** — I w rozpędzie dodał: — **Cholera!**

W przerwie między ujęciami podszedł do pana Michała znajomy (już znajomy!) statysta, starszy, siwy pan o senatorskim obliczu, świadomy swej aparycji i uprzejmie poprosił o ogień. Uprzejmie też podziękował.

— Co tu dużo mówić — dmuchnął dymem — **bez statystów żaden, nawet najmniejszy film by nie powstał. Jesteśmy potrzebni, proszę pana. Bardzo potrzebni. Ale nas tu trochę nie doceniają. A bo prawdę mówiąc to samo szamrajstwo tu przychodzi! Nie wszyscy, ale w większości... No spójrz pan na tę babę! Jaka aktorka, prawda!**

— A pan?

— Ja! — zakrztusił się dymem. — **Ja to już, proszę pana, od samego początku, ja to już, proszę pana, w „Zakazanych piosenkach"...**

W niedzielę po południu żona powiedziała z wymuszonym spokojem:

— Och, byłabym zapomniała. Wczoraj synek sąsiadów dwa razy przychodził prosić cię o autograf. Od razu pojął, że za bardzo troszczy się o jego powagę.

— Co ty, co ty?... — powiedział z odcieniem żalu.

— Nie zapominaj — podniosła głos — **że twój starszy syn jest naukowcem! I bardzo poważne badania przeprowadza w instytucie.**

— Proszę bardzo — zdecydował natychmiast — **mogą się do mnie nie przyznawać. Synowie, córki, kto tam jeszcze! A dzięki komu oni zdobyli wykształcenie? Kto na nich harował całe życie? Prace zlecone brałem, fuchy rozmaite po nocach robiłem, nieraz na nieuczciwość się narażałem... A teraz co? Obraza. Ale mnie też się coś od życia należy. Teraz jestem wolny człowiek.**

Żona milczała gniewnie.

Na wszelki wypadek postanowił się trochę obrazić.

Po roku podliczył: — Grałem w siedmiu filmach.

Był: przechodniem ulicznym, chłopem, robotnikiem, woźnym, partyzantem, księdzem, portierem.

Sąsiadka daremnie próbowała ukryć uczucie zazdrości. Oczy tajemniczo mrużyła, głową kiwała lekceważąco.

— No jeszcze nie wiadomo, czy pana nie wytną — uśmiechnęła się słodziutko. **— Ja, proszę państwa, jednego roku wystąpiłam aż w ośmiu filmach! Epizod grałam! W plenery jeździłam. Na fotosach byłam... Ale aż z sześciu mnie wycięli. Doszczętnie** — załkała. **— Patrzył się człowiek na ekran, czekał tego momentu i nie doczekał się. Bardzo boleśnie to odczułam. Byłam wtedy dużo młodsza i pazerna na sławę. Ale już się zmieniłam, trochę... Dzisiaj myślę, iż najważniejsze jest to, że człowiek w czymś uczestniczy.**

W przerwie asystent reżysera gorąco zachęcał statystów do odpoczynku: **— Relaksujcie się państwo. Spokojnie.**

Powoli rodziła się rozmowa na właściwy temat. Słowo do słowa.

— Jutro też będą zdjęcia, nie wiecie? — pytała pani Janina.

— Pani Jasiu, co pani taka zachłanna? Senator robił tęskną minę, długo zwlekał z wyznaniem.

— Taka Michèle Morgan, to jest aktorka. Jaka kobieta:

— A wiesz pan, że przed wojną w Warszawie to jeden umarł na tle miłości do pewnej artystki. Nie, źle mówię! Nie umarł. Dostał pomieszania zmysłów. Jak Boga kocham!

— Martw się pan o swoją głowę — odparł spokojnie Senator.

— Morgan — powtórzył Student z nieco mniejszą nonszalancją.

— No tak... Prawdziwe jej nazwisko brzmi: Roussel. Simone Roussel. Tak, znakomita aktorka. Chociaż właściwie...

Pan Bolek, którego przezwano „Małym", przebił się z pytaniem:

— A taki reżyser ile zarabia miesięcznie? No tak z grubsza...

— Idź pan, idź pan — złościł się Student. I prędko ratował temat: **— Proszę państwa, a co to jest kino? Kto z was wymyśli na poczekaniu najlepszą definicję? Ogłaszam konkurs, bez nagrody.**

Pierwszy zabrał głos Senator:

— Kino, bracie, to jest taka fantastyczna rzecz, że ja tam będę żył na tych taśmach, chociaż mnie już dawno na świecie nie będzie. Za parę lat, powiedzmy, puszcza się w telewizji ten ostatni film i moja żona, chociaż ona tam cholerę warta, zobaczy mnie żywego i może trochę się wzruszy.

— Mądrze pan to ujął — pochwalił pan Michał.

Student już się bardzo niecierpliwił.

— No, już dobrze, panowie! Zaspokoiliście swoją przyrodzoną tęsknotę za nieśmiertelnością. Teraz tym radośniej będziecie wcielać się w obrazy! Ale chciałem pana wyprowadzić z błędu. Pańska żona nie pana ujrzy na ekranie, lecz tylko pańskie sympatyczne widmo. I nie wiadomo jakie wartości ukaże, ujawni jej ten czas odnaleziony. Może ulegnie iluzji, może od razu podda się tej szczególnej sile sugestii, może nagle zyska pan w jej oczach: odżyją w niej dawne uczucia...? („A uczucia samoczynnie zamieniają się w magię"!) Pan zna najlepiej swoją żonę... Ale posłuchajcie państwo innej definicji. — chrząknął, przyjął postawę zasadniczą i powiedział: **— „Kino jest to dwudziestoczterokrotna prawda w ciągu jednej sekundy"** — Uśmiechnął się tajemniczo, popatrzył po twarzach. Ktoś westchnął. Ktoś powiedział zbolałym głosem: **— No, no...** — zgarnął dłonią pot z czoła.

Zacichli nagle, bo obok przemknął wielki aktor ciągnąc za sobą smugę sławy. Dobrą chwilę nikt nic nie mówił.

— A taki aktor, to tego... — zaczął w zadumie pan Mały.

Urwał momentalnie i uśmiechem starał się przekonać wszystkich, że sam nie wie, o co chciał zapytać.

— Ty, ty znowu o forsie! — skarcił go Student. **— Ty masz zachodni umysł! Idź poproś, może chociaż da ci policzyć.**

— A ty! — odciął się pan Mały. **— Może rozdałeś swój majątek ubogim i teraz tu przychodzisz żebrać?**

— Ja przychodzę tu pracować na własną mitologię! Czasu mi szkoda, ale przychodzę. Nie ukrywam też, że czuję dominującą potrzebę doznania samego siebie... Tak! Zresztą, co ja ci tu będę tłumaczył — powstrzymał swoją pasję. **— I tak tego nie zrozumiesz. Od dawna wiem, że masz wegetatywną duszę. Ja już mógłbym stanąć za kamerą!** — wykrzyknął i zaraz bojaźliwie rozejrzał się dokoła. **— Czasem to aż mnie podrywa... Mam sto, tysiąc pomysłów! Wyobraźnia mi podsuwa. W moich przyszłych filmach będzie dużo zbliżeń twarzy. Kult twarzy: Twarz wyraża wszystko. Natomiast gołych panienek na plan nie wpuszczę. O, nie!**

— Jasne — przywtórzył pan Zenon, były kierowca — **Nie wpuszczaj. Dosyć wszędzie tych gołodupców.**

Student zamyślił się głęboko, zapatrzył gdzieś w złudną dal zdjęciowej hali. Niektórzy już odgadli, że zaraz powie coś szczególnego. Długą chwilę tonął, błąkał się w tajemniczych, głębiach swej inteligencji, wiedzy i dojrzewającego talentu. Oczy mu się rozjarzyły: **— Kino to jest moje życie, moje szczęście** — powiedział z prostotą. **— Mój kosmos. Siedzę, czekam niecierpliwie. Wreszcie gasną światła. I pojawiają się ukochane, ucieleśnione cienie. Nagle mam świat w zasięgu ręki! Poddaję się temu jakiemuś hipnotycznemu oddziaływaniu, coś mnie wzrusza do łez, coś mnie porywa. Zacierają się granice między realnością a złudą.**

Kilka razy w tygodniu, tuż przed ósmą zjawia się pan Michał w wytwórni na Łąkowej. Wchodzi do poczekalni dla statystów, kłania się znajomym, przysłuchuje się rozmowom.

— Widzieliście wczoraj ten odcinek w telewizji? Jankowski grał. O, ten, co tam siedzi! Patrzcie, jaką powagę piluje.

Wszyscy są nad wyraz poważni. Z powagą tak nie kłóci się niepokój. Nie kontrastuje niekorzystnie. Czekają w skupieniu. Parę minut po ósmej przychodzą inspektenci (nie zawsze, bywają dni puste) i przyglądają się twarzom. Szacują nieuważnie, przebierają, niedbale i przeważnie odmownie odpowiadają na liczne prośby. Czasem potrzebują twarzy szczególnych: o arystokratycznych rysach, o inteligentnym wyrazie, znamionującym wybitne cechy: lub twarzy pomarszczonych, zmiętych, ledwie żywych, ze śladami przeżytych cierpień, z piętnem rozpusty.

Czasem potrzeba więcej „młodych", czasem więcej „starych", chyba, że akurat kręci się tego dnia sceny zbiorowe, to wtedy jak leci, kto przybył, wszyscy czują się potrzebni.

— Panie reżyserze — jakaś kobieta uśmiecha się przymilnie. **— Panie reżyserze, przecież ja... Ja wczoraj grałam! Więc dlaczego ja dzisiaj zostałam pominięta?**

On nie słucha, nie patrzy, odchodzi, podąża za głosem swego zawodowego, artystycznego instynktu. A ona zamiera w sztucznej, wdzięcznej pozie, przerażona, podstarzała, przesadnie umalowana. Paru jest takich, którzy udają, że im nie zależy na żadnej roli. Ktoś wtajemniczony rozgłasza, że już niedługo realizowany będzie Wielki Film, Giganci Superprodukcja: tysiące statystów będzie potrzebnych, każdy znajdzie dla siebie odpowiednią rolę; sam Pierwszy Reżyser podejdzie do człowieka, poda dłoń i powie: zagraj pan w moim filmie, ja bardzo pana proszę, z góry godzę się na pańskie warunki, pieniądze to sprawa uboczna. Ale nie wszyscy wierzą. Trudno ich pocieszyć, doświadczenie swoje mają, pamięć nie pozwala im zachwycać się obiecanką.

Przez kilka dni wśród śmiechu i zdziwienia opowiadano sobie o pewnym statyście, który za 500 złotych dniówki grał mnicha. Długo nie grał, przez dzień tylko, a potem już nie. Uprzednio, oczywiście przy charakteryzacji, wygolono mu duży krąg na czubku głowy, tzw. tonsurę. Wieczorem, po zdjęciach nie oddał kostiumu w garderobie, tylko, jakoś tak niepostrzeżenie, wymknął się w nim na ulicę. Lecz nie udał się do jakiegoś eremu, nie. Poszedł prosto na ulicę Kopernika do knajpy „Kolejowej". Tam szczęśliwym trafem spotkał dwóch kumpli. Niewiele myśląc wyciąga zza pazuchy umowę i wali na stół, przed ich z natury nieufne oczy. A w tej umowie stoi czarno na białym, że on taki to i taki jest aktorem i gra rolę ojca Błażeja w filmie pod takim i takim tytułem. Wysokość zagwarantowanego umową wynagrodzenia: 500 złotych dziennie (słownie: pięćset złotych).

— On ma szczęście! Nie? — powiedział pierwszy.

A drugi wbił w kartkę rozgorączkowane i podejrzliwe spojrzenie: sprawdzał, czy nie sfałszowana. Uspokoił się trochę i zaczął myśleć.

— Trza by oblać tę bumagę!

Kelner trochę się krzywił, nie dowierzał. różnych tu widział, ale zakonnika jeszcze nigdy. Wyszło na to, że i jemu nasz statysta musiał pokazać umowę. Drugie pół litra podała im młoda, przystojna kelnerka, też chciała zobaczyć z bliska żywego aktora. (Przy sąsiednich stolikach niektórzy goście już się trochę wzruszyli i pili zdrowie Osoby Duchownej). Po trzeciej butelce wyszli na ulicę i z miejsca zaczęli śpiewać. On wysoki jak drabina, uroczysty, dumny, z białą plamą świeżej łysiny: czarny habit leżał na nim jak ulał, łowił błyski ulicznych lamp. Oni obok niego. Z oddaniem i poświęceniem. Szarzy, zwykli, prości, ale unurzani w jego sławie. Szli ulicą, zadowoleni bardzo, że wzbudzają ogólną ciekawość i podziw. W pobliżu Dworca Kaliskiego zgarnęła ich milicja. Wśród opowiadających nie było zgody co do tego, jaką to pieśń śpiewali. Ktoś twierdził, że śpiewali „Szesnaście lat więzienia się nie boję...", ktoś inny, że tylko „Jak się masz kochanie".

— Dorwał się człowiek — powiedział pan Michał. — **Raz się dorwał.**

Po południu albo dopiero wieczorem, żona pyta pana Michała: co tam nowego w filmie? Opowiada oszczędnie: wciąż jej ciekawość wydaje mu się podejrzana. Oszczędnie opowiada, każde słowo w myślach waży. Długo się zastanawiał, czy może coś opowiedzieć o Studencie. W końcu doszedł do wniosku, że Student też nikomu ironii nie szczędzi. Jego też kilka razy usiłował zawstydzić z różnych powodów:

— Przemądrzały jest — zaczął i jeszcze trochę się wahał. **— Pewny siebie. Kiedyś na przykład powiedział, że kino to jest... Zaraz, jak on to ujął? Że kino... to jest... wielka prawda dziejąca się w ciągu dwudziestu czterech sekund?...**

— Dlaczego akurat w ciągu dwudziestu czterech sekund?...

Nie za krótko? — zdziwiła się. I zaraz się przestraszyła, że stawia niemądre pytania.

Sierpień 1977 r.

W INTENCJI OBRONY PRAWEGO KRAJU 2

Dalszy ciąg ze str. 1

Walka o włączenie tych dokumentów trwa 12 miesięcy i kończy się tym, że Sąd Najwyższy przenosi 24 czerwca 1967 roku rewizję do Sądu Wojewódzkiego w Kielcach. Oskarżona składa ponownie wniosek o włączenie do akt sprawy dokumentów z postępowania dyscyplinarnego przed WKD i po półrocznym oczekiwaniu otrzymuje odpowiedź... odmowną. Sytuacja powtarza się więc raz jeszcze i 20 kwietnia 1968 roku *„sprawa doc. Hankus"* trafia przed oblicze Sądu Wojewódzkiego w Warszawie Wydział V Karny — Rewizyjny.

Zmiana sądu i tym razem nie zmienia, niestety, nic w kwestii dopuszczenia zawnioskowanych przez oskarżoną dowodów. Sąd Wojewódzki dla m. st. Warszawy czternaście razy oddala składane kolejno wnioski doc. *Hankus*. Nie zmienił swego stanowiska również wówczas, gdy z Sądu Koleżeńskiego nadszedł protokół przesłuchania członków komisji badającej sprawę pracy habilitacyjnej dr *Petrysa*, w którym owi członkowie przyznają, iż wzmiankowanej pracy ani artykułów, zawierających te same co praca treści nie widzieli na oczy. Doc. *Hankus* nie rozumiejąc uporu sądu, składa kolejno wnioski: — do Sądu Wojewódzkiego, aby ten wystąpił z zapytaniem prawniczym w sprawie włączenia dowodów do Sądu Najwyższego, do tego ostatniego o wyłączenie z postępowania rewiżyjnego sędziów Sądu Wojewódzkiego w Warszawie i na koniec, o poddanie tych sędziów badaniom psychiatrycznym.

„Począwszy od dnia przejęcia sprawy przez Sąd Wojewódzki dla m. st. Warszawy, a skończywszy na dniu 10 lutego 1969 roku — pisze doc. Hankus w tym wniosku — *występowałam kilkunastokrotnie z wnioskiem o uzupełnienie postępowania dowodowego przez dopuszczenie akt Wyższej Komisji Dyscyplinarnej, jednakże Sąd Wojewódzki odrzucał uporczywie dowody mojej niewinności, stwierdzając — jak np. w orzeczeniu z dnia 25 października 1968 r. — że „nie ma potrzeby" uzupełniania przewodu sądowego (...) Dopuszczenie dowodu z wyroku skazującego Komisji Dyscyplinarnej I instancji, a odrzucenie dowodu z akt i wyroku Komisji Dyscyplinarnej II instancji, który skazujący mnie za rzekome zniesławienie wyrok uchylił, jest dowodem, że wymienieni we wniosku sędziowie cierpią na sui generis manię prześladowczą, skoro decydują się na segregację akt dyscyplinarnych, mającą na celu wyeliminowanie z nich dowodów mojej niewinności (...)"*

Po oddaleniu przez Sąd Najwyższy tego wniosku, stanowiącego w gruncie rzeczy rozpaczliwy gest oskarżonej, doc. *Hankus* decyduje się na gest następny i wysyła do Rady Państwa skargę na sędziów Sądu Wojewódzkiego. Pani *Reyman*, teściowa doc. *Hankus*, matka dr *Reymana*, która razem z nią prowadzi walkę z Temidą, kieruje list otwarty do rektora Uniwersytetu Warszawskiego, który to uniwersytet wydał dyplomy magistrów owym sędziom. Jak można się łatwo domyślić, wszystkie te zabiegi i pisma odnoszą jedynie taki skutek, że wokół całej trójki narasta sława pieniaczy. Tak to już bowiem jest, że jeśli ktoś powtarza po wielekroć swoje racje, to choćby to była sama prawda, nikt go nie będzie słuchał. Nieważne co mówi, ważne, że mówi ciągle to samo. W przypadku *„sprawy doc. Hankus"* jakby zapomniano, że ta trójka „pieniaczy" nie walczy jedynie o słowa, bo ostatnie wraz z wyrokiem Sądu Powiatowego stały się ciałem i przybrały realną postać 11 miesięcy więzienia.

Beznadziejna walka z Temidą nadszarpnęła mocno siły doc. *Hankus*. Pod koniec 1968 roku prosi o zwolnienie ze stanowiska dziekana w WSP. Powoli godzi się z myślą o pójściu do więzienia. Gdyby prowadziła tę walkę sama, uległaby prawdopodobnie już dawno. Natura nie stworzyła jej bowiem na bywalca sądowych korytarzy — jest wątła, niezbyt odporna psychicznie, typowy przykład kobiety-naukowca. To, że prowadzi tę walkę, że nie chce się poddać, jest wynikiem wsparcia, jakiego udzielają jej mąż i teściowa — twardzi, zdecydowani walczyć *„aż do końca"*.

W roku 1969 na ów koniec się jednak nie zanosiło — a przynajmniej nie zanosiło się na koniec pomyślny dla oskarżonej. Kiedy 6 maja 1969 roku Sąd Wojewódzki dla m. st. Warszawy przystąpił ostatecznie do rozprawy rewizyjnej nie dopuszczając w dalszym ciągu zawnioskowanych przez doc. Hankus dowodów, to na znak protestu złożyła następujące pisemne oświadczenie:

„W związku z przestępstwami Sądu Wojewódzkiego dla m. st. Warszawy i jego sędziów w niniejszej sprawie popełnionych, polegających na uniemożliwieniu mi przeprowadzenia dowodu prawdy (...) przez niedopuszczenie dowodu z akt dyscyplinarnych (...) czyli świadomym działaniu na szkodę nauki polskiej i polskiego wymiaru sprawiedliwości cofam rewizję". W końcowej części uzasadnienia powtarzając raz jeszcze zarzuty pod adresem sędziów, pisze:

„W tych warunkach nie mogę zgodzić się na postawienie mnie przed takimi sędziami i oddanie na ich ręce mojej sprawy".

Wycofanie rewizji powoduje uprawomocnienie się wyroku. Zgodnie z orzeczeniem Sądu 28 maja 1969 roku *„Echo Krakowa"* zamieszcza skróconą sentencję wyroku.

Uprawomocnienie wyroku nie kończy bynajmniej sprawy. Głośno jest o niej w środowisku naukowym, coś niecoś wie na jej temat również tzw. szeroka opinia społeczna. W kręgach prawniczych też musiała widać wywołać kaca, skoro w miesiąc po wycofaniu rewizji znalazł się ów *„pierwszy sprawiedliwy"*, który nie godzi się, by sprawa poszła do lamusa. Jest nim pierwszy prezes Sądu Najwyższego, prof. dr *Zbigniew Resich*. W dniu 6 czerwca zakłada przeciwko wyrokowi rewizję nadzwyczajną z urzędu.

„Rozstrzygnięcie Sądu Powiatowego w tej kwestii — pisze we wniosku — *jest nietrafne. Zasadniczą kwestią jest problem autorstwa i poziomu naukowego pracy habilitacyjnej oskarżyciela prywatnego T. Petrysa (...) Ocena takiej pracy wymaga specjalistycznych wiadomości z zakresu chemii i fizyki. Na tej podstawie obrona wnioskowała przed rozprawą i na rozprawie powołanie biegłych. Sąd Powiatowy w dniu 14 grudnia 1965 roku odmówił wnioskowi obrony z uwagi na to, że „Sąd jest najwyższym biegłym i jest powołany do oceny okoliczności, a powołanie biegłych niepotrzebnie przewlekałoby sprawę"*. Dla wyjaśnienia warto dodać, że mimo iż biegłych nie powoływano z uwagi na to, że powoływanie *„niepotrzebnie przewlekałoby sprawę"*. Dla wyjaśnienia warto dodać, że od zapadnięcia wyroku minęło dokładnie 1 rok, i miesiąc i 9 dni. W zakończeniu wniosku prof. *Resich* pisze:

„Rozważyć należy również i ocenić nie tylko treść wypowiedzi oskarżonej, ale i fakt, że zwracała się ona pismem do Rady Wydziału Politechniki, a więc instancji uczelni powołanej do kierowania pracami naukowymi i dydaktycznymi".

Dnia 18 listopada 1969 r. odbyła się rozprawa. Jednym z czworga ludzi stanowiących publiczność na sali sądowej był red. *Daniel Passent*, który spisał następnie całą sprawę w artykule *„Zabrakło tylko krwi"*. („Polityka", 6.XII.1969 r.)

„Dziwny to był widok — pisze Passent — *sala Sądu Najwyższego. Za stołem trzej sędziowie, ludzie w sile wieku, stanowiący symbol sprawiedliwości (...) Po prawej stronie adwokaci Tobiasza* (T. Petrysa — H.N.). *Po lewej — puste miejsca dla adwokatów A. Mielczak* (A. Hankus — H.N.) *Na ławach dla publiczności dwie osoby oddalone od siebie jak najdalej: Tobiasz, młody, szczupły brunet o spokojnym sposobie mówienia, jak gdyby w cuglach i teściowa oskarżonej, znana nawet urzędniczkom wielu sądów. Z tyłu, przy drzwiach znudzony woźny i wasz sprawozdawca (...)*

Ponad dwie godziny naradzali się sędziowie Sądu Najwyższego, by wreszcie, ku uldze Tobiasza, odrzucić rewizję wniesioną przez I Prezesa ich sądu".

Sędziowie Z. Kabac, K. Wagner i A. Paszkowski tak uzasadnili swoją decyzję:

„Ocena wartości naukowej i poziomu pracy habilitacyjnej Tibora P. wykracza poza ramy toczącego się oskarżenia prywatnego procesu, ponieważ akt oskarżenia nie zarzucał oskarżonej zniesławiających wypowiedzi co do poziomu tej pracy (...) Co więcej, ani oskarżona, ani jej obrońca nie zgłaszali nawet takiego wniosku o powołanie biegłego dla oceny poziomu pracy habilitacyjnej Tibora P. (...) Oskarżona i jej obrońca zgłaszali natomiast wnioski o powołanie biegłych dla ustalenia faktu przywłaszczenia sobie przez oskarżyciela prywatnej pracy zespołu (...) Oskarżona zajmowała stanowisko, które podziela rewizja nadzwyczajna, że w rozpoznawanej sprawie zachodziła konieczność powołania biegłych-specjalistów od smarów w celu ustalenia w jakim stopniu praca zgłoszona do druku przez oskarżyciela prywatnego jako jego własna praca habilitacyjna zawiera tożsame wyniki, rysunki, wykresy i wnioski z opublikowanymi później we wspólnych artykułów oskarżyciela prywatnego oraz asystentek K. i N.".

Zdaniem sędziów jednak:

„przy ocenie autorstwa pracy habilitacyjnej oskarżyciela prywatnego, w jakim stopniu jest ona tożsama z napisanymi później 6 artykułami, lecz o to, jaki był wkład obu asystentek w pracę Zespołu Smarowego. A do takiego ustalenia nie są powołani biegli — specjaliści od smarów (...) Podstawowym dowodem są tu zeznania asystentek K. i N. zeznania zaś te są jednoznaczne i zgodne z zeznaniami Tibora P. Obie one zeznały, że Tibor P. prowadził już wcześniej badania, a kiedy zostały przydzielone mu do pomocy, miał on plan badań gotowy, że wykonywały czynności pomocnicze, które mogłyby wykonać także laborantki, że wszystko robiły pod kierunkiem Tibora P., że praca ich polegała na dokonywaniu pomiarów, na częściowym sporządzaniu wykresów i tabel, natomiast wnioski do swojej pracy habilitacyjnej opracował Tibor P., przy czym część tych wniosków przekazał im, by opracowały praktyczne zastosowanie ich w niektórych gałęziach przemysłu i te opracowania znalazły się we wspomnianych artykułach. Dlatego też uważają się one za współautorki tych artykułów, natomiast nie poczuwają się do współautorstwa pracy habilitacyjnej Tibora P."

To uzasadnienie nasuwa, moim zdaniem, kilką wątpliwości. Pierwsza dotyczy bezkrytycznego przyjęcia zeznań świadków (konkretnie było ich troje, tzn. obie asystentki i kierownik katedry) jako podstawy do ustalenia kwestii współautorstwa pracy habilitacyjnej *T. Petrysa*. Obie asystentki nie były w najmniejszym stopniu zainteresowane przyznaniem im współautorstwa pracy habilitacyjnej. Dla nich pytanie, czy poczuwają się do współautorstwa tej pracy oznaczało dokładnie to samo co pytanie: — *czy chcą, aby T. Petrys nie został docentem*. Niełatwo jest powiedzieć: tak, jeśli z człowiekiem, którego to dotyczy, pozostaje się w tzw. stosunkach służbowych i jeśli takiej odpowiedzi nie można nawet usprawiedliwić *„obroną własnego interesu"*. Jeszcze większy sceptycyzm powinien dotyczyć zeznań kierownika katedry — przecież był częściowo odpowiedzialny za to, co się stało. Broniąc racji *T. Petrysa*, bronił własnej postawy, bronił go jak nauczyciel broniący pracy ucznia, za którą poprzednio postawiono mu dobrą ocenę.

Druga wątpliwość dotyczy stwierdzenia sądu, że porównywanie treści pracy habilitacyjnej *T. Petrysa* z sześcioma opublikowanymi wspólnie (T. Petrysa i asystentki) artykułami nie prowadzą do żadnych wniosków przydatnych do rozstrzygnięcia sprawy. W uzasadnieniu znalazł się następujący akapit:

„doc. P. (okrasen) wypowiedział się, że praca ta w swej większej części opiera się na artykułach stanowiących wspólny dorobek 3 osób: Tibora P., N. i K. (...) Biegły ten wychodzi więc z błędnego założenia, że w pracy habilitacyjnej zaczerpnięto treść, rysunki, itd. z 6 artykułów, gdy tymczasem w rzeczywistości było odwrotnie" Odwrotnie, tzn., że treść, rysunki itd. do artykułów zaczerpnięto z pracy habilitacyjnej. Ze szczegółowej opinii prof. *Tomassiego* wynika, że np. rysunki do artykułów *„zaczerpnięto"* prawie w 100 proc. z owej pracy. Z opinii tego samego biegłego a również doc. *Pokrasena* można wnosić, że treść również w większej części *„zaczerpnięto"* z pracy. Czy zatem artykuły nie były, jak twierdzą wspomniane asystentki N. i K. odrębnymi wobec pracy habilitacyjnej opracowaniami, wykorzystującymi jedynie niektóre wnioski z tej pracy i rozwijające je dla praktycznego wykorzystania w danej gałęzi przemysłu? Jeśli nie były, jeśli stanowiły jedynie nieco zmienioną część pracy habilitacyjnej, to trudno odmówić im prawa współautorstwa do tej *„większej części pracy"*, wydrukowanej w nieco tylko zmienionej formie w 6 artykułach, skoro do współautorstwa tych artykułów poczuwają się one w pełni. Może więc różnica stanowisk w kwestii współautorstwa nie wynika z różnego wkładu pracy w obu przypadkach, ale z innej formy gratyfikacji? Dr *Petrys* nie ma nic przeciw uznaniu ich współautorstwa w przypadku gdy chodzi o honorarium i w jakimś stopniu prestiż tzn. w przypadku publikacji prasowych, odmawia im natomiast współautorstwa pracy habilitacyjnej, z której one żadnego pożytku i tak mieć nie mogą. Dlatego dokładna analiza wzajemnych związków i stopnia tożsamości pracy habilitacyjnej z artykułami, wydaje mi się nie taka znowu bezcelowa, za jaką uznał ją sąd.

Trzecia wreszcie wątpliwość dotyczy stwierdzenia sądu, iż wbrew temu co sugeruje I Prezes Sądu Najwyższego, ocena poziomu pracy habilitacyjnej *T. Petrysa* jest zbędna, ponieważ zarzuty oskarżonej nie dotyczyły poziomu pracy. Wydaje mi się jednak, że jeśli chcę ocenić np. wkład pracy kwalifikowanego kamieniarza wspólnie z rzeźbiarzem, to dobrze jest wiedzieć, czy owym dziełem był granitowy jeździec na koniu czy prostopadłościenny cokół. Z zeznań asystentek wiadomo, że prowadziły one pomiary, sporządziły część wykresów i tabel. W protokole z rozprawy przez Wyższą Komisję Dyscyplinarną znalazło się takie stwierdzenie:

„...w środowiskach chemii pominięcie współpracowników, a zwłaszcza osób, które przeprowadziły doświadczenia, daje podstawę do ujemnej oceny postępowania dr Petrysa. W podobnych przypadkach pracownicy używają określenia — kradzież pracy".

Przytaczam je jednak tylko na marginesie, bo nie ono w tej chwili jest ważne. Ważny jest wkład dr *Petrysa* do wspólnej pracy zespołu. Sąd zakłada niemal z góry, że musiał on być duży, skoro praca nazywa się habilitacyjna. Z zeznań wynika, że zanim przydzielono do zespołu smarowego asystentki, dr *Petrys „miał już plan badań gotowy"*, potem *„pracą kierował"* i *„opracowywał wnioski"*. W pismach doc. *Hankus* znalazłem na temat tych wniosków następującą opinię — wniosek był w gruncie rzeczy jeden: — że syntetyczny dwusiarczek molibdenu do celów smarowniczych jest również dobry jako dwusiarczek naturalny. Nie przytaczałbym go nawet, gdyby nie to, że w owych pismach wyjaśniona jest również geneza całej sprawy syntetycznego dwusiarczku molibdenu, którą można by uznać za równie stronniczą, gdyby nie była poparta dowodami. Otóż z w/w pisma wynika, że cała sprawa narodziła się w początkach lat sześćdziesiątych, gdy grupa wynalazców z Kędzierzyna, działając w ramach produkcji antyimportowej opracowała metodę produkcji syntetycznego dwusiarczku molibdenu. Zaczęto nawet produkcję w skali półtechnicznej i były poważne zamiary budowy dużych zakładów produkcyjnych. Politechnika Krakowska wzięła na warsztat sprawę dwusiarczku i właśnie *„zespół smarowy"* miał dowieść, że do celów smarowniczych nadaje się on bardzo dobrze. Popularyzując na łamach prasy fachowej zalety syntetycznego dwusiarczku (stąd owe 6 artykułów) autorzy z *„zespołu smarowego"* trafili również do redakcji pisma *„Przemysł Chemiczny"*. Ta jednak, przed wydrukowaniem artykułu, poprosiła o jego recenzję prof. dr *Karola Akermana*. Recenzja była druzgocąca:

„Cała sprawa zreferowana w obu artykułach — pisał profesor — *polega na oczywistym nieporozumieniu. Produkcja syntetycznego dwusiarczku molibdenu dla zastąpienia importowanego molibdenitu nie ma sensu, ponieważ cały surowiec molibdenowy dostępny w Polsce, pochodzi z importowanego molibdenitu"*. Operacja byłaby więc taka: — importowany molibdenit byłby przerabiany na molibden, a ten z kolei na syntetyczny molibdenit. Dlatego prof. *Akerman* kończy swoją recenzję nie kryjąc dobrego humoru:

„Dlatego właśnie Polska, jak to T. Petrys pisze w pierwszym artykule na str. 9, jest jedynym krajem na świecie produkującym w skali półtechnicznej, syntetyczny MoS_2 dla celów smarowniczych". W pełni podziela to zdanie również doc. *Pokrasen* w swojej opinii sporządzonej na zlecenie Wyższej Komisji Dyscyplinarnej. Nie ukrywa ponadto, że jego zdaniem, praca wyraźnie robiona jest pod tzw. zapotrzebowanie społeczne:

„Celem powyższej pracy było wykazanie — pisze doc. Pokrasen — *jeśli nie wyższości to przynajmniej równorzędności syntetycznego dwusiarczku molibdenu w porównaniu z naturalnym molibdenitem. Autor w samym tytule wyraźnie podkreśla, że w pracach badawczych używano dwusiarczku molibdenowego krajowej produkcji do olejów smarowych rodzimych"*. Stąd właśnie moje przekonanie, że dokonując oceny poziomu merytorycznego całej pracy i pamiętając, że asystentki *„wykonywały pomiary oraz częściowo rysunki i tabele"*, można byłoby dowiedzieć się o rzeczywistym wkładzie pracy dr *Petrysa* znacznie więcej, niż z ogólnych stwierdzeń zawartych w zeznaniach świadków (nawet przy założeniu, że są one w pełni wiarygodne).

Nie te jednak wątpliwości odnośnie do wyrażonego w uzasadnieniu wyroku stanowiska Sądu Najwyższego stanowią o tym, że wyrok trudno uznać za salomonowy. Przecież głównym punktem oskarżenia był zarzut *„pomówienia"* dr *Petrysa* o przywłaszczenie wyników pracy zespołu. Tymczasem nikt i nigdy nie zakwestionował faktu, że praca, którą zgłosił jako własną i w której nie uczynił najmniejszej nawet wzmianki o udziale innych w jej opracowaniu, była pracą zespołową. Roztrząsanie w toku postępowania dowodowego i w czasie samego procesu problemu wkładu poszczególnych członków zespołu do wspólnej pracy, w ogóle nie miało sensu. Jeśli nawet udział asystentek w tej pracy był niewielki, to przecież również to, czego w imię zasad etyki zawodowej żądano od *Petrysa* było niewygórowane — żądano zaznaczenia bądź na wstępie, bądź w bibliografii, tego, że nie robił jej sam. Tego wymagała uczciwość wobec swoich współpracowniczek, ale również wobec komisji, która miała zdecydować o habilitacji. Do niej bowiem należało ustalenie czy jego wkład pracy był na tyle ważący, że może stanowić podstawę habilitacji. Zatajenie zespołowego charakteru pracy trudno nazwać inaczej, niż próbą oszukania owej komisji, a podpisanie jej wyłącznie własnym nazwiskiem — próbą przywłaszczenia wyników pracy zespołu.

Doc. *Hankus* jako kierownik zakładu miała nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek przeciwstawić się tym matactwom, a uczyniła to w sposób najbardziej właściwy — prosząc Radę Wydziału o komisyjne zbadanie sprawy. Gdyby ta zdecydowana postawa sprzeciwu wobec cwaniactwa i hochsztaplerstwa była bardziej powszechna w środowisku naukowym, może nie musielibyśmy dziś ubolewać nad jego upadkiem etycznym. Winę za to, że ta w istocie drobna sprawa urosła do gigantycznych rozmiarów, ponoszą ci, którzy zamiast dezaprobaty nie skąpili Petrysowi poparcia i nawet wówczas, gdy w poczuciu bezkarności postanowił posłać do więzienia osobę, która ośmieliła się stanąć na jego drodze, uczynili wszystko, by mu się to udało. W tej ostatniej sprawie nie bez znaczenia było oczywiście niezwykłe szczęście, jakim się cieszył w świątyni Temidy.

Na koniec wróćmy raz jeszcze do artykułu *D. Passenta* — świadka tamtej rozprawy przed Sądem Najwyższym:

„Tą decyzją — pisze on — *sędziowie utrzymali w mocy karę 11 miesięcy aresztu, na którą skazana została doc. Mielczak, obecnie dziekan wyższej uczelni w Rzeszowie. Nie pójdzie ona do więzienia (choć raz już była na to gotowa, i w determinacji wycofała rewizję), bo przyszła jej na odsiecz amnestia. Ale żadna dla niej pociecha. Ta kobieta nie jest przestępczynią, którą społeczeństwo powinno od siebie odseparować — z dokumentów jawi się jako osoba wrażliwa i niezbyt zrównoważona (ale kto z nas by to wytrzymał!?), której rektor, dla przedłożenia w sądzie, wystawił opinię złożoną z samych superlatywów jako o człowieku i naukowcu. Z pewnością nie liczy się ze słowami, postępowała nie zawsze odpowiedzialnie i doprowadziła siebie — oraz doprowadzono ją — do ostateczności walcząc z otaczającym ją światem. Ale utrzymać w mocy skazujący ją wyrok — to się nie mieści w głowie. W tym gigantycznym przewodzie sądowym racja wydaje się leży po stronie najniższego i najwyższego przedstawiciela aparatu sprawiedliwości, tj. po stronie jednej ławniczki z Krakowa i prezesa Sądu Najwyższego z Warszawy. To, co działo się pośrodku, jest nie do opisania.*

Kiedy Sąd Najwyższy ogłosił wyrok, pierwsze pytanie Tobiasza brzmiało:

— Do kogo jeszcze się ona może odwołać?

— Do ONZ! — odpowiedział mecenas.

HENRYK NAKIELSKI

(c.d.n)

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

PÓŁ WIEKU TEMU...

Pół wieku temu w „Wiadomościach Literackich" ukazał się kolejny felieton **Antoniego Słonimskiego.** Oczywiście felietony Słonimskiego czytam „do poduszki" i zawsze znajduję w nich coś zaskakującego. Czasem jest to wracający, sprzed lat temat piekąco aktualny, czasem świadectwo pomyłek w ocenach i prognozach, czasem opis sytuacji, bądź zjawiska, z którym i ja miałem okazję się zetknąć... czasem wszystko to razem.

Pisze Słonimski w owym felietonie sprzed pół wieku o tym, że co jakiś czas zjawia się u niego człowiek z projektem zbawienia ludzkości. Znam to z autopsji jako dziennikarz — mnie również tacy i dziś odwiedzają.

Ale znamy to także wszyscy. Specjalistów od zbawienia ludzkości — a przynajmniej kraju — mamy na pęczki również i dzisiaj.

Pisze Słonimski pół wieku temu. (Naturalnie powtarzam to „pół wieku" bo właśnie z tego powodu sprawa robi się podwójnie śmieszna): Otóż jeden z korespondentów pisarza chciał zbawić ludzkość w sposób bardzo prosty. Twierdził, że ludzie przeważnie dlatego męczą się i gryzą, że nie mają pieniędzy, trzeba więc na rogu każdej ulicy założyć bank, który by wydawał pieniądze wszystkim, którzy się zgłoszą...

No i proszę! Musiało pół wieku upłynąć, aby ten projekt został — w pewnym przynajmniej zakresie — zrealizowany. Kto się zgłaszał — dostawał pieniądze. Tylko coś jakby ludzkości od tego się nie polepszyło.

Zresztą już pół wieku temu Słonimski miał wątpliwości, czy to jest dobry projekt. Obecnie doświadczalnie sprawdzamy, że nie jest.

Nie był również dobrym pomysłem, pomysł samego Słonimskiego. Otóż proponował on w roku 1931, aby powołać armię międzynarodową. Sądził, że w ten sposób rozwiąże się problem wojny. Niestety. Chociaż istnieją dziś siły zbrojne ONZ wojen od tego nie ubyło.

„Projekt ten ma wiele luk i naiwności" — zastrzegał się Słonimski, dodając, że nie bierze odpowiedzialności za dalszy bieg wydarzeń. „Nie myślcie, że musi być druga wojna, albo rewolucja. Może być i jedno i drugie". I tu miał — przed pół wiekiem! — rację. Może być i jedno i drugie równocześnie.

Wiele stwierdzeń pisarza jest do dziś aktualnych. Na przykład gdy pisze: „Ludzie władzy żądają od nas zbyt wiele i zbyt mało „dają nam w zamian".

Napisał również (pół wieku temu): „Niewątpliwie kapitalizm niedługo zdechnie, ale chcemy dożyć jego pogrzebu". Kapitalizm dotąd nie zdechł i my wcale nie chcemy dożyć jego pogrzebu, jeśli w ogóle chcemy czegokolwiek dożyć.

Obliczyłem, że wymieniłem tu parokrotnie nazwisko Słonimskiego. Jest to dług spłacony po pięciu latach za felieton pt. „Muszka w grochy" w którym nazwiska Słonimskiego nie wymieniłem ani razu, choć to była recenzja z jego książki „Alfabet wspomnień". Po prostu — nazwisko pisarza było wówczas na indeksie i nie można go było wymieniać.

Jeśli aktualny student filologii polskiej pomyśli sobie, że w ten prosty sposób oszukałem cenzora — to muszę sprostować, że się głęboko myli. Cenzor był mądry i inteligentny sam również czytał „Alfabet wspomnień" i wiedział dobrze w czym rzecz. Obaj robiliśmy tzw. perskie oko — ja pisząc tę kuriozalną recenzję — on udając, że nie wie o co chodzi.

I to właśnie było najgorsze. Owa gra pozorów, która opanowała systemem nienormalnych mechanizmów wszystkie dziedziny życia. Kiedy to było? Pięć lat temu — a wydaje się, że pięćdziesiąt. Ale jak odczyta ten felieton przypadkowy czytelnik za lat pięćdziesiąt? Czy znajdzie w nim kolejne śmieszne analogie do swojej — za pół wieku — sytuacji? Jeśli tak to mogę mu napisać „Nihil novi sub sole". Tylko, kto za lat pięćdziesiąt będzie znał łacinę?

WIDOK

PROPOZYCJE

WIOSNA

Na ogół zwykliśmy się cieszyć ze zmian pór roku, a już szczególnie z nadejścia wiosny, jako że po jesiennych szarugach, zimowych zawiejach słońce świeci coraz mocniej i do całej przyrody życie powraca. Ale w tym roku jakoś mało kto zauważył przyjście wiosny I to nawet nie dlatego, że pory roku nam się coraz częściej mylą ze względów atmosferycznych, że pogody wiosenne zdarzają się zimą, a jesienne wiosną i latem. Ot, po prostu, w nawale zdarzeń i faktów był to drobiazg ledwie zauważalny, drobny, bez większego znaczenia. Nie ma właściwie z czego się cieszyć

Wiosną rolnik wychodzi w pole i zastanawia się, jakie też tego lata będzie miał zbiory. Cieszy się też, bo już niedługo trawy zazielenią się i będzie można bydło wygnać na pastwisko. Ale tej wiosny rolnicy więcej czasu spędzają w magazynach GS, pod biurami, na zebraniach i spotkaniach. Chodzi bowiem o to, że aby mogli cieszyć się z wiosny i przystąpić do wiosennych prac w polu, potrzeba im kilka ważnych rzeczy: dostatku nawozów, węgla, maszyn, części do tych maszyn i sprawnie działającego samorządu. Do tej pory o sprawność wsi troszczyli się urzędnicy, a teraz chcą to robić sami chłopi. Uważają oni, że sami dobrze znają się na rolnictwie, a urzędnicy mogą im tylko pomagać i służyć pod ich, chłopską samorządnością. I trudno im odmówić racji.

Nie znam się na rolnictwie i nie mam zamiaru wtrącać się w fachowe sprawy. Chodzi mi zupełnie o coś innego. Chodzi mi o to, że od dłuższego czasu na wsi nie działają te mechanizmy społeczne, które powinny sprzyjać rozwojowi rolnictwa. A także nie działają mechanizmy ekonomiczne. I właśnie po to wsi potrzebny jest samorząd, aby przy jego pomocy mechanizmy te zaczęły działać ponownie Dotyczy to zresztą nie tylko wsi. Dotyczy to wszelkiej działalności gospodarczej i społecznej.

My często ograniczamy się do apeli. Wzywamy na przykład do rzetelnej, solidnej pracy. Słusznie. Taka praca jest ze wszech miar potrzebna. Rzecz jednak w tym, aby ludzie brali się rzetelnie do pracy nie tylko na skutek naszych wezwań wzajemnych, ale, aby do takiej pracy mieli też warunki, aby nie działały przeszkody pracę taką uniemożliwiające Nie wystarczą choćby najpiękniejsze apele, jeśli w fabryce nie będzie surowca, lub, jeśli akurat elektrownia wyłączy dopływ energii, albo kiedy brakuje części zamiennych do maszyn i muszą one stać, albo kiedy ludzie widzą małą skuteczność swego działania i zaczynają się zniechęcać.

A tymczasem sytuację mamy taką, że bez dobrej, rzetelnej, wydajnej pracy wszędzie, na każdym stanowisku, w każdej dziedzinie nie potrafimy wyjść z kryzysu, w jakim przyszło nam żyć, i pracować. Otóż wszyscy jakby czekamy, że za kilka dni ukaże się solidnie opracowany program stabilizacji i wyjścia z kryzysu. Program taki wprawdzie zapowiadano, ale nie ma go do dziś. I kto wie, kiedy będzie. Trzeba zatem, w miarę własnych możliwości, każdy na swoim odcinku, tworzyć taki program, usuwając to, co przeszkadza, stwarzając warunki, aby zaczęły znów działać te wszystkie przyczyny, które powodują, że człowiekowi chce się dobrze robić.

Nie cieszymy się wiosną, jak za „dawnych, dobrych czasów", kiedy to wiosna zwiastowała przednówek, a więc i czas zaciskania pasa, przymierania głodem. „Czy grozi nam głód?" — pyta w „Życiu Warszawy" z 13 marca 1981 r. Konrad Bajan i odpowiada, że nie, ale pod warunkiem, że radykalnie zmieni się życie społeczno-gospodarcze na wsi, że cały system obsługi rolnictwa i obrony interesów chłopów będzie działał bez szwanku i służył dobrze wsi. Tak więc dobrze pracować musi nie tylko chłop w polu, ale i urzędnik w GS, ale i kółko rolnicze, ale i samorząd wiejski musi to wszystko uważnie kontrolować.

Natomiast Andrzej Kruczkowski w „Życiu i Nowoczesności" z 19 marca 1981 roku udowadnia, dlaczego już dziś trzeba pomyśleć o kartkach na chleb. Jego zdaniem takie posunięcie będzie ostro krytykowane, ale jest niezbędne przede wszystkim dlatego, że kartki na chleb wprowadzą porządek w zaopatrzeniu w nasz chleb powszedni, zagwarantują jego rytmiczne i niezbędne, bo ściśle określone dostawy, a przede wszystkim spowodują oszczędne gospodarowanie mąką i chlebem. I proszę nie sądzić, że to jest tylko oskarżenie pod naszym, zjadaczy chleba, adresem. Nie, każdy może zobaczyć w sklepie, ile chleba się marnuje przez to, że przywozi się go o niewłaściwych porach, że przywozi się już czerstwy, że rozwozi się chleb na ogół według rozdzielników, a nie według rzeczywistego zapotrzebowania A kartki na chleb — zdaniem A. Kruczkowskiego — wszystko to uporządkują i podniosą nasz prestiż u zagranicznych wierzycieli, bo pokażą, że nawet w trudnej sytuacji umiemy znaleźć racjonalne, choć niepopularne wyjście.

I z czego tu się cieszyć tej wiosny?

MARCIN RODAK

SYTUACJE

PŁAĆ, ROMANIE...

Roman Gorzelski (Łódź), zamieścił w „Szpilkach" (2/81) następujący tekst:

...Ostatnio dowiedziałem się o innej sprawie, którą jak najszybciej należałoby załatwić. Dotyczy ona zakończenia budowy i niezbyt szczęśliwie znalezionego miejsca dla pomnika Leona Schillera. A było tak: z okazji okrągłej rocznicy urodzin aktorzy łódzcy postanowili uczcić pamięć tego wielkiego człowieka teatru i rozpoczęli mozolne zbieranie pieniędzy na ten zbożny przecież cel. Po paru latach okazało się, że forsy wystarczy zaledwie na popiersie. Zamówiono więc je u lokalnego mistrza dłuta. Popiersie wyszło niezłe, zaczęto więc szukać miejsca dla jego ustawienia I tu stało się nieszczęście: przypadkowo popiersie to zobaczył jakiś dygnitarz. Zaśmiał się ponoć szyderczo i kazał pomnik Schillera odstawić do lamusa twierdząc, że takim byle czym nie będzie zaśmiecał Łodzi.

Na fali odnowy należałoby pomyśleć o tym, aby uchylić niesłuszną i jednoosobową decyzję przypadkowego bonzy, bo pomnik jest wprawdzie mały, ale gustowny i niepotrzebnie stoi w hallu Teatru im. Jaracza (przy ul. Jaracza), gdzie można go oglądać w przerwach między aktami. Pomników w Łodzi jest niewiele, więc można by teraz pomnik Schillera (skazany na wygnanie do hallu teatru) ustawić na jednym z licznych, lecz pustych tutejszych skwerków...

Roman Gorzelski (Łódź), jak zwykle wszystko pokręcił i poplątał, a czego nie mógł ani pokręcić ani poplątać, to zmyślił:

1. Z inicjatywą budowy popiersia Leona Schillera wystąpiło Towarzystwo Przyjaciół Łodzi w końcu roku 1978. Na czele Społecznego Komitetu Budowy stanął Kazimierz Dejmek.

2. 25 marca 1979 wmurowany został akt erekcyjny dla posadowienia popiersia w miejscu od początku planowanym, tj. w pasażu Leona Schillera.

3. W kilka miesięcy po ogłoszeniu zbiórki pieniężnej okazało się, że na koncie znajduje się 420 tys. zł zebranych ze składek społeczeństwa, w tym i środowiska teatralnego Łodzi. Była to kwota o 120 tys. zł wyższa od tej, którą planowano.

3. W związku z tym postanowiono zmienić koncepcję i godniej uczcić pamięć Leona Schillera. Model gipsowy popiersia, odpowiednio spatynowany, przekazano uroczyście Teatrowi im. S. Jaracza (na jego scenie Leon Schiller zrealizował wiele słynnych swoich inscenizacji), zaś u artysty rzeźbiarza Antoniego Bilasa dodatkowo zamówiono rzeźbę z granitu, która ma stanąć w miejsce popiersia w pasażu Leona Schillera.

4. W początkach kwietnia br. zakład kamieniarski przystępuje do obróbki bloku granitu przeznaczonego na rzeźbę (projekt jest wykonany).

O wszystkim tym Roman Gorzelski mógłby się dowiedzieć choćby z lokalnej prasy, gdyby ją czytał zamiast ssać palec. Swoją drogą paranoidalna jest sytuacja, w której każdą korespondencję Romana Gorzelskiego z Łodzi trzeba w ten sposób prostować. Skoro jednak „Szpilki" zamieszczają te listy w braku czegoś lepszego...

J. K.

P.S. Myślę, że etycznym gestem byłoby przekazanie przez Romana Gorzelskiego honorariów ze „Szpilek" na konto Społecznego Komitetu Budowy Popiersia Leona Schillera (dawna nazwa ze względu na oszczędności — papier, pieczątka itp. — pozostała). Podajemy nazwę i numer konta: Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, PKO I Oddział w Łodzi, 47513 6581-132" — z zaznaczeniem celu wpłaty.

ŚWIAT Z BOKU

ODNALEZIONY WĄTEK

Fabryka, w której Murawski rozpoczynał pracę, składała się z niewielkiego parterowego budynku produkcyjnego i z dziesięciokondygnacyjnego biurowca o nowoczesnej konstrukcji i komfortowym wnętrzu.

— *Mam nadzieję, że spodoba się panu u nas* — powiedział na powitanie kierownik, uśmiechając się przyjaźnie. — *Przede wszystkim musimy się pochwalić naszymi zdobyczami socjalnymi. To robi wrażenie.*

A więc, jak pan widzi, mamy ładną kawiarnię, tuż za nią mieści się świetlica ze sprzętem radiowo-telewizyjnym, stolikami do gry w karty itd., itd., dalej jest basen kąpielowy. W tradycyjnych zakładach pracy trzeba chodzić po piwo nieraz spory kawałek drogi, u nas pijalnie piwa są na miejscu. Tutaj znów, dla wygody pracowników, mamy samoobsługową izbę wytrzeźwień. A na tamtym stoliku leżą zwolnienia lekarskie. Wystarczy wpisać nazwisko i ilość dni. Ale, jak dotąd, nie ma chętnych. No bo gdzie im będziej lepiej? — zaśmiał się głośno.

— *Och, żebym nie zapomniał... Kasa jest na parterze. Wypłaca każdą żądaną kwotę.*

— *A co z obowiązkami? Jakie będą moje obowiązki, panie kierowniku?* — podnieconym głosem pytał nowicjusz.

— *Korzystanie z tych wszystkich dobrodziejstw, które nas otaczają, poza tym koleżeńskość, tworzenie dobrej atmosfery międzyludzkiej... A propos: czy lubi się pan czasem napić czegoś mocniejszego? Powiedzmy... koniaczku?*

— *Ależ... Skądże znowu, panie kierowniku! Jakżebym śmiał?!*

Kierownik zmarszczył brwi, rzucił posępne spojrzenie na obraz przedstawiający kłębiące się chmury, po czym przeniósł wzrok na Murawskiego i powiedział cicho lecz dobitnie: *Niedobrze".*

— *Jeśli jednak zajdzie potrzeba...* — szybko poprawił swą odpowiedź podwładny.

— *Tak też myślałem. A teraz proszę udać się do swego pokoju i zapoznać się z regulaminem zakładowym...*

Pokój przypominał raczej komfortowe mieszkanie z filmu amerykańskiego, niż pomieszczenie biurowe. Gustowne meble wypoczynkowe i sypialne, szkło, doskonałe napoje, pojemniki na prezenty przyjmowane i dawane, komplety pachnących piżam, budzik i wiele innych przyjemnych i pożytecznych drobiazgów.

— *Regulamin Fabryki Baloników Sylwestrowych* — czytał półgłosem Murawski. — *Praca została w naszej fabryce uznana za zajęcie nadobowiązkowe, a nawet wstydliwe. Preferowany jest natomiast każdy rodzaj wypoczynku biernego i czynnego, w zależności od zainteresowań pracownika. Podczas wypoczynku biernego nad drzwiami pokoju pali się napis świetlny „Nie przeszkadzać. Śpi się." Napis taki zobowiązuje pracowników do przestrzegania warunków BHS (bezpieczeństwa i higieny snu).*

Służbowa piżama okazała się w sam raz. W pokoju zrobiło się miło i przytulnie, toteż zmęczony ostatnimi przeżyciami Murawski zapadł wkrótce w zdrowy, pokrzepiający sen.

— *Panie, zbudź się pan wreszcie* — usłyszał jak gdyby z zaświatów głęboki męski głos.

— *Panie, co pan?! Jak pan śmie?! Zgodnie z regulaminem Fabryki Baloników Sylwestrowych powinna teraz panować cisza!*

— *Jaki regulamin? Jaka Fabryka Baloników? Tutaj jest Fabryka Części Bardzo Poszukiwanych i są normalne godziny pracy, a ja jestem pańskim kierownikiem.*

Zniknęło gdzieś łóżko, piżama, regulamin, a powoli wracała rzeczywistość. Zwykłe biurko, krzesło, akta...

— *A więc to nieprawda, że pierwszy sen w nowym miejscu pracy się sprawdza! Jak mogłem wierzyć w takie bzdury?!*

— *Jeszcze jedna sprawa, panie Murawski. Dobrze jest, jeśli w biurze czy w warsztacie panuje zdrowa, koleżeńska atmosfera. Ta jednak zależy od nas wszystkich. A propos: czy lubi się pan czasem napić czegoś mocniejszego? Powiedzmy... koniaczku?*

JAN WALEK

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139 prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 598. K-2.